



2254 T. 1

requisit 2 Niekost
nr 004502435

1 das do
1 Litwy

4

Wieloletnia wędrowność w kraju i zagranicą — a to przez
organizację na polski sposób. W Niemczech zaś i w Anglii
Polskich i Litewskich, jakie i w innych krajach
trocista i w innych, jakie i w innych krajach
i w innych krajach, jakie i w innych krajach

Wieloletnia wędrowność w kraju i zagranicą — a to przez
organizację na polski sposób. W Niemczech zaś i w Anglii
Polskich i Litewskich, jakie i w innych krajach
trocista i w innych, jakie i w innych krajach
i w innych krajach, jakie i w innych krajach



Wieloletnia wędrowność w kraju i zagranicą — a to przez
organizację na polski sposób. W Niemczech zaś i w Anglii
Polskich i Litewskich, jakie i w innych krajach
trocista i w innych, jakie i w innych krajach
i w innych krajach, jakie i w innych krajach

Wieloletnia wędrowność w kraju i zagranicą — a to przez
organizację na polski sposób. W Niemczech zaś i w Anglii
Polskich i Litewskich, jakie i w innych krajach
trocista i w innych, jakie i w innych krajach
i w innych krajach, jakie i w innych krajach

Wieloletnia wędrowność w kraju i zagranicą — a to przez
organizację na polski sposób. W Niemczech zaś i w Anglii
Polskich i Litewskich, jakie i w innych krajach
trocista i w innych, jakie i w innych krajach
i w innych krajach, jakie i w innych krajach

Wieloletnia wędrowność w kraju i zagranicą — a to przez
organizację na polski sposób. W Niemczech zaś i w Anglii
Polskich i Litewskich, jakie i w innych krajach
trocista i w innych, jakie i w innych krajach
i w innych krajach, jakie i w innych krajach

Wieloletnia wędrowność w kraju i zagranicą — a to przez
organizację na polski sposób. W Niemczech zaś i w Anglii
Polskich i Litewskich, jakie i w innych krajach
trocista i w innych, jakie i w innych krajach
i w innych krajach, jakie i w innych krajach

Wieloletnia wędrowność w kraju i zagranicą — a to przez
organizację na polski sposób. W Niemczech zaś i w Anglii
Polskich i Litewskich, jakie i w innych krajach
trocista i w innych, jakie i w innych krajach
i w innych krajach, jakie i w innych krajach

13

WOLNO DZIAŁOWY

JADŹWINGOWIE

PIAŚNY CZYNOG I KRYTYK A.C.B.

POEM III.

WOLNO DRUKOWAĆ,

*Z warunkiem złożenia prawem przepisanej
liczby Exemplarzy w Komitecie Cenzury.*

Warszawa dnia $\frac{6}{18}$ Grud. 1844 r.

STARSZY CENZOR I NACZELNIK K.C.R.

NIEZABITOWSKI.

W Drukarni T. Wyszomierskiego.

JADŹWINGOWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

NAPISAŁ

J. A. Miniszewski.

Patrzcie o Giury, jam siny, blady
Zgadnijcie czyim ja posłem?...

ALPUCHARA.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM AUG. EMMAN. GLÜCKSBERGA,

PRZY ULICY MIODOWEJ, N° 497. POD FILARAMI.

»»»»

1845.

UADWUWUWU

ANNUAL HISTORY

1845

WALTON DRUMMOND

Published by the author, at the
Office of the Librarian of the
British Museum, No. 7, Pall Mall, London, W.
Printed by R. Clarendon, at the
Printers, No. 1, St. Dunns Church Lane, London, E.C.

1845

WALTON DRUMMOND

WALTON DRUMMOND

1845

1845

— Już nie znać kwiatów, zginął ślad — mamy tylko wiadomy kierunek, w którą nprowadzili ją stronę. Ale kto pochwycił Lidę? poznaliżby matkę Komiata?... Lat tyle żyła ukryta.... spokojnie, zdala od ludzi....

— Patrzaj Olelku, na dębie liście suchej paproci zatkwiłone. Lida miała ten zwyczaj — może to ręka Lidy, aby nam pozostawić ślady, stroiła w ofiarne ziele te dęby święcone....

— Pójdźmy tam, pójdźmy! — na Peruna, przysięgam! póki lat stanie, pójdę, chociażby na krańce świata i Lidę wynaleść muszę ko-

niecznie... O dobra Lido, na twój wiek zgrzybiały przyszło ci między ludźmi złemi na zamarłą trafić nienawiść...

— Ale któżby to mógł uczynić? kto śmiał dłoń podnieść na Lidę?

— Aldono, wiadomo ci kto od trzech dziesiątków lat czyha na zgubę Komiatów rodu. Zemsta choć późno odżyje w sercu Jadźwingi; w jego duszy pamięć zniewagi nie prześpi lat długich...

— Lut więc sprawcą tej zbrodni?...

— Jeszcze zawczoraj Lut pośród rady wywołał pamięć Komiatów czynów — a gwar przytłumiony odpowiedział niechęcią ku dawnemu władcy. Ja broniłem pamięci Komiatów... i cisza była ponura... nie znalazłem nikogo z życzliwych...

— Dwadzieścia lat spędziłyśmy w tej chatce ustronnej — nikt nie przerwał naszego spokoju — Mleczo w dzieciństwie, ty Olelku, i Krywekrywejto z swoim towarzyszem byliście jedyni co obcowaliście z nami. Od czasu kiedy lud powierzył ci rządy — już my samotne wiecznie; czasami tylko widywałyśmy ciebie i Mlecza... któżby więc nawiedził naszą chatę z nieprzyjaciół? Lut nie postał tu nigdy. Wi-

dywaliśmy czasami łowem przechodzącego tędy: nie zajrzał przecież do u bogiej strzechy na nasze szczęście. A dzisiaj, chociażby i wszedł do naszego domku, poznałżeby w zestarzałej Lidzie matkę Komia? — to niepodobna.

— Łupiezca także nie spodziewałby się tutaj skarbu.....

— Olelku, znowu dąb przystrojony w liść paproci — to jej znaki niezawodnie; zdążajmy, zdążajmy brzegiem tego strumienia.

Tak, zastanawiając się nad tem, ktoby był sprawcą nieszczęścia Lidy, Olelko z Aldoną postępowali ciągle ku wschodowi słońca, brzegiem strumienia, tułając się od dębu do dębu stojącego w liście paproci. Co Olelka przymusza do zajmowania się losem jednej zgrzybiałej niewiasty? — co tak mu serce uciska że czasem i łza na oku zabłyśnie? to musi wiedzieć jedna tylko Aldona. Ale czemuż znowu Aldona, pomimo łez ciągłych i głębokiego smutku, tak często na Olelka rzuca okiem, wpatruje się w jego lica i postawę? — to westchnie, jakby za przeszłością; to w niebo spojrzy, jak gdyby u bogów szukała pociechy. Że to nie sama tęsknota za Lidą, to ręczę: lecz co drugiego boli w sercu, ja dotąd nie wiem.

Już słońce dawno przesunęło się na zachodnią nieba połowę i coraz to w żywsze purpury barwy złoci chmury, a jeszcze nie spoczęła Aldona, jeszcze nie spoczął Olelko — bo każdy dąb w paproć ustrojony nowej dodaje im otuchy. Idą i idą dalej — aż słabnąć zaczynają siły, Olelko zwalnia kroki — Aldona upada na mocy — ale nie upada na sercu; onaby dnie całe i nocy nie wyszła z puszczy szukając Lidy. Czuje Aldona coraz większy brak siły, chwieje się na nogach, bo ona zesła kraj daleki, prosząc ludzi o kęs chleba dla starej Lidy; — jednakże na swoje nie wspomni znuzenie, ale spojrzy na Olelka i widzi pot z jego spływający czoła i jakoś litośnie jej w sercu: bo Olelko spracowany — Lida staje i mówi:

— Ach, już mi tchu brakuje; zaczekaj za mną Olelku; próżno wyteżam sił resztki, już nogi nieposłuszne... Wstrzymaj się, wstrzymaj Olelku... i ty wypoczniiesz — pójdziemy jeszcze daleko, a może bardzo blisko... to siły potrzebne... kęs chociaż chleba, kropla zdrojowej pokrzepi je wody...

Przystanął Olelko, gniewne na Aldonę rzucił spojrzenie... wpatrzył się w nią badawczym okiem i mówił:

— Zapominasz, Aldono, jak drogą dla mnie jest Lida, jak jej winienem wiele! Chociażbym i życiem nałożyć miał dla niej — czyliż tego życia... Aldono pójdźmy dalej! Widzę znowu zdaleka żółtawy liść paproci zatknięty w korze modrzewia.... to jej ślady... niezawodnie....

— Chociażby jej były ślady, Olelku, zapominasz żeś sam tylko jeden, a może znajdziemy Lidę w nieprzyjaciela ręku, i walczyć dla wyswobodzenia jej przyjdzie, posłuchaj wtedy osłabła dłoń twojego serca? zyszczeż co na tem Lida?

— Masz słuszość, Aldono,.... odrzekł spuszczać oczy Olelko i siadł nad strumieniem. Aldona tymczasem roznieciła ogień, podała mu pokarm i sama pożywała kęs chleba skrapiając go łzami na wspomnienie Lidy — i spoglądając na Olelka roniła znowu łzę — a ta łza daleko była gorętszą znowu. Stary Olelko wycieńczony na siłach, pogrążony w zadumkę, oparł głowę na pniu drzewa i zasnął. Aldona tymczasem ani zmrużyła powieki. Widać postanowiła czuwać nad bezpieczeństwem starca, bo ciągle dokłada drzewa na ognisko a szepce sama do siebie: «Nieprzyjaciel, co czyhał na zgubę Lidy, ten i Olelka nienawidzić musi — nie zamknę oczu na

chwile, czuwać będę nad nim przez noc całą do białego ranka!» I duma Aldona wpatrując się wspiącego — nieruchoma, jak martwa; — na każdy szmer suchego liścia w krzewinie zrywa się i patrzy dokoła; jak gdyby była mężem, czuwa wytrwale, niepopuszczając z dłoni rohatyny, i na każdy powtórzony szelest podnosi ją do góry; rzucając okiem dokoła gniewnie,

Jednego razu szmer zdaleka powtarza się głuchy i coraz bliższy i bliższy, aż kroków odgłos wyraźny. Powstała Aldona i obróciła się w stronę przybywającego — płomień rzucając blask, zdala twarz jego pobieła — już usta Aldony chcą zawołać: „Kto tam?“ Ale poznały oczy chociaż czuwaniem znużone — poznały to dziecię drogie, które karmiła swoją pierś — zdaleka daje znak mileżenia Mleczkowi, ukazuje na spoczywającego starca — a potem posuwa się ku niemu i czule go uścisnęła...

— Cóż tu porabiasz, Mleczku, o tak późnej dobie?

— Ja co porabiam? raczej mnie zapytałbyś was stosowniej było, dlaczego w późnych latach tak niszczyłeś zdrowie i siły, aby daleko od domu bez dachu w dżdżystą noc jesienną czuwać posród boru?...

— O dziecię lube, młodość tylko moja przeminęła swobodnie, sam życia poranek tylko, kiedy w ojców zagrodzie nie znałam nikogo prócz ojców rodziny. Przyszedł w dom nasz wojownik młody, przyszedł ze służbą, bogaty w dostatki i wdzięki — zabrał mnie, zaślubiwszy z domu rodzicielki. — Chwila jeszcze przeminęła, a potem nowe żale i boleści, i odtąd aż do tej chwili. Serce Aldony do śmierci pozostanie jednakiem, chociaż ludzie nie chcą czy nie mogą zrozumieć go nigdy... W spokoju ze starą Lidą żyjąc od lat dwudziestu, rozumiałam, że już szczęścia niepragnąc, w cichości przynajmniej doliczę karbu śmiertelności — los przecież zrządził inaczej. Posłuchaj Mleczku: wydarto nam Lidę, Lidę najukochańszą jedyną przyjaciółkę moją; już teraz nie zostało mi nikogo z życzliwych na świecie!...

— Jakto? nie rozumiem co mówicie matko..

— Powróciłam do chatki naszej, nie zastałam Lidy. tylko znaki, któremi zostawiła mi wiadomość że ją ludzie uprowadzają tacy, co krwi jej pragną niewinnej, a są to nieprzyjaciele.....

— Lidę uprowadzili?!... O bogowie! Któż śmiał targnąć się na zgrzybiałą staruszkę, na rodzicę Komiata i opiekunkę jego syna?!

Aldona spojrzała ze zdziwieniem na Mleczka z kądby on wiedział że Lida matką Komia-
ta... ale nie miała i czasu i myśli zastanawiać
się nad tem, bo myślała o kochanej tylko Li-
dzie, a zagadnął ją młodzieniec:

— Powiedźcie mi matko, kto leży pod tym
dębem przy ognisku uśpiony?

— Jest to Olelko. Przybył on do naszej
chaty w godzinę po moim powrocie — i razem
wyszliśmy szukać jej śladów. Od pierwszego
brzasku poranku nie wstrzymaliśmy się ani na
chwilę, oczy moje z łez nie oschły, widziałam
wysilającego się Olelka, nie mogłam znieść, aby
on utrudzony nie spoczął... udałam niemoc...

— Jednakże czuwaliście dotąd matko ...

— Czuwałam, bo lękałam się o Olelka. Ten
wróg co zgrzybiałej nie przebaczył Lidzie, prze-
baczyłżeby Olelkowi, gdyby go w swoje ręce
pochwycił?

— Ach! matko, jam młody i silny, ja spoczy-
wałem długo! nie pozwolę abyście dłużej trawi-
li noc bezsenne — spoczniście i wy po podró-
ży — ja będę nad wami obojgiem straż trzy-
mał...

— Oj synu, mnie sen tak prędko nie opanuje;
wytrwałe moje powieki, bo one łzami przesią-

kły, bo one po dziesięć nie zwierały się nocy — zresztą dni moje dla nikogo już pożytku przynieść nie mogą — skon chwilą prędzej, to prędzej moje skończą się cierpienia.... a ludziom cóż straty śmierć Aldony przyniesie? Cóż to kogo obchodzić będzie....

— Matko, tak nigdy nie mówcie; jakto, nie macie już przyjaciela? Jam wasz syn, bo wy chociaż nie daliście mi życia, waszem karmionym mlekiem wzrosłem. Zdzisław brat mój, gdy wróci pomiędzy Jadźwingów i obejmie nad ludem wodzą — ja mu wspomnę o Aldonie, a Zdzisław kiedy dowie się kto Aldona, kiedy dowie się że ona wykarmiła mnie Mleczkiem, Zdzisław wtedy tak kochać was będzie jak ja was kocham, a dwóch kto takich ma przyjaciół może powiedzieć że śmierć Aldony nikogo nie obejdzie z ludzi?...

— O Mleczku, dziecię lube, ty nie pojmujesz co to są cierpienia! Gdybyś ty chociaż chwilę pocierpiał w sercu co ja wycierpiałam, co i dzisiaj boli, zbrzydziłbyś sobie ten żywot. Twoje przywiązanie, dziecię lube, to dziecięce pieśszoty. Ja nie mówię o tobie, ale są.... byli, mówię, ludzie, co wydarłszy mi pokój i szczęście całe, nic nie pozostawili oprócz łez

i goryczy.... ci ludzie nie chcą poznać mojego serca. Nie umieli i nie chcieli go poznać i wtedy nawet, kiedy doświadczali niewdzięczności od innych. Ale pocóż te wspomnienia?... Dostyc mi straty Lidy, tej, co przynajmniej jedna na świecie czuła moją krzywdę i bolała razem ze mną. Dwadzieścia lat przeżyliśmy razem oboje w niedoli, obiedwie żaląc się przeszłości, niedbając o przyszłość już żadną — dwie nieszczęśliwe matki i żony.

Tak wyrzekła Aldona a słońce już niedalekie wschodu bladawą rumieniło niebo zorzą, i podniósł się Olelko. Spostrzegłszy Mleczkę, czuwającego razem z Aldoną — a na licach Mleczka posępność niezwykłą — zapominając gdzie jest i co wczoraj zraniło jego serce, zapytał młodzieńca:

— Powracasz już z twojej wyprawy?

— Już, odpowiedział Mleczek; — dopełniłem wszystkiego, dowiedziałem się wiele, ale to wszystko mało dla serca co boli tym więcej. A dowiedziałem się przed chwilą że uprowadzono Lidę, matkę mojego ojca... dwoje więc teraz poszukiwać będę... i rodzica i Lidy...

— Rodzica?... oj, co o tym, wątpię abyś dowiedział się kiedy, bo on dotychczas... Ale po co

mi niepotrzebne tej chwili robić uwagi? już słońce niedalekie wschodu — pójdźmy dalej w drogę — to ostatni dąb uwieńczony liśćmi paproci....

Powstał Olelko, zarzucił sajdak na ramię, wziął oszczep do ręki — spojrzę na Aldonę, Aldona blada, znużona: pokazują to jej oczy że i chwili nie kosztowała spoczynku; spojrzął na Mlecza i nowa myśl przebiega mu w duszy — podumał chwilkę i rzekł do młodzieńca:

— Dobrze, mój synu, że spotkaliśmy się niespodziewanie; obadwa w jednej działając myśli, pomagajmy sobie wzajemnie. Niepotrzebnie wszyscy troje w jedną udawaliśmy się stronę. Ty wrócisz do koczowiska i śledzić będziesz kroki Luta, może ślad poweźmiemy jaki: ale pamiętaj z krwią najzimniejszą, nie zapalaj się gniewem — bo zgubić mógłbyś wszystko. My tutaj zostaniemy w okolicy wąwozu i chatki opustoszałej Lidy; jeżeli powziąbyś ślad jaki, znajdziesz nas hasłem twojem na borze. Nie traćmy czasu, idź w swoją stronę synu.

Tu Olelko obrócił się do Aldony i rzekł:

— Aldono, nie zmrużyłaś powieki przez noc całą, zostań tu przy ognisku, spocznij, a ja

przebiegnę okolicę i powrócę do ciebie nad wieczorem..

— Nie, Olelku, ja spoczywałam, Mleczko dopiero sen mój przebudził nad rankiem — dla mnie dość chwila wytchnienia. A zresztą czyliż mniej dla mnie miałyby drogą być Lida — abym beczynninie miała trawić dobę gdy ona cierpi może...

— Rozumiem cię, Aldono, rozumiem... da Bóg przyjdzie czas... Ale mówię to szczerze, ty Aldono niepotrzebnie udasz się za mną; ja cię ukryję w miejscu, kędy cię nikt nie znajdzie... a sam pójdę i zwiedzę wąwóz i dalej śladu Lidy poszukam. Lida już była słabą, ona nie zaszłaby daleko — zostań, zostań Aldono!

— Kiedy Olelko szukać będzie Lidy w jednej stronie, ja mogłabym przebiegać uboczne miejsca....

— Dosyć tego, Aldono, ja sam pójdę; ty zostań, to moja wola niezłomna!...

Aldona spuściła oczy i milczała, a Olelko postępował dalej śladami dębów ubranych w paprocie, aż zaszedł na dolinę, stojącą w gęste krzewy kaliny; ztąd wąwóz prowadzi między góry daleko, a dąb ostatni ozdobiony paproci dużym wieńcem, na zakręcie wąwozu zmienia kierunek dawnej drogi. Postępował dalej O-

lelko i dokota obchodząc wawóz, spostrzega wiele jeszcze takich drzewin. Nim wezwie do pomocy Aldonę — my cofnijmy się do Lidy.

Kiedy Lut ze Skirmuntem zawiedli staruszkę do groty podziemnej, niegdyś świątyni, ciemno tam było i głucho. Lida mileżąca i osłabła padłszy na mechowe posłanie na którym posadzili ją złoczyńcy, zasnęła snem twardym i w nim pogrążona prześniła aż do ranka. Pamięć u staruszki krótka i zapomniała gdzie znajduje się. Po zbudzeniu:

— Aldono!.. Aldono!... wołała, powróciłaś ty już do domu?.. użyczyli ci ludzie dla biednej wdowy kęsa chleba?... Oj, mnie niedługo zabawiać już pozostaje na ziemi, niedługo ludzie żywić mnie będą. I tak już lat przeżyłam za wiele, i tak cierpiałam za wiele. — Oj, ludzie w szczęściu nie tak żyją długo, troski widać dodają żywota — prawda Aldono?... O jam bardzo stara! — No! nie mi nie odpowiadasz? — Ha, nie powróciła do mnie jeszcze... sama muszę jeszcze dzień jeden pracować, a to już mi bardzo ciężko...

To mówiąc powstała staruszka i chciała poszukać na kotlinie ognia, ale wszędy macać musi, wyrachowane dawniej mylą ją kroki. Nie znajduje kotliny, tylko jakieś wzniesienie,

jak ołtarz na którym kapłani święcą ofiary — szczeliną z wysoka blady zanurza się w ciemnościach promień światła — a wszędy gdzie ścianę pomaca — wilgotna i twarda opoka. Obchodzi do koła i stawa znowu przy mehowem posłaniu, sama nie dowierza sobie — choć głód szarpiący wnętrzości przekonywa ją że dawno nie brała pokarmu, dnia w ciemności nie poznaje i rozumiejąc że noc jeszcze ciemna, upada na słankę i chce zasypiać, lecz sen powiek nie skleja. Szuka w pamięci, rozmyśla nad tem co dostrzega, bo oczy nazwyczajają się coraz do ciemnego zmroku i wiele już, zobaczyła przedmiotów — a w tém dał jej słyszeć się szelest z boku i odgłos stąpającego kroków.

— Aldono, Aldono, tyż to powracasz? ach podaj mi podaj kęs chleba — mnie bardzo głodno — podaj mi i wody. — Tyżeśto Aldono?

— Ja, odpowiedział głos niewieści, młody, nieśmiały, jakby bojaźliwy.

— Rozniec ogień, moje dziecię, ale wprzód podaj mi chleba. Daliżci go ludzie dla biednej wdowy?

— Alboż wy mnie znacie? zapytał głos przybyłej, co zatrudniała się roztleniem ognia na kotlinie.

— Co mówisz, córko? — Czy ja znam ciebie? Miałyżby nie znać się dwie nieszczęśliwe wdowy sieroty?

Tu ogień buchnął płomieniem i ukazały się obok niego lica krasnej dziewczoi z rodu Jadzwingów. Wzięła zapalone łuczywo do jednej dzban z mlekiem do drugiej ręki i kęs chleba — a przystąpiwszy do rogu groty gdzie słyszała głos Lidy, na jej widok cofnęła się krokiem i krzyknęła przerażona. — Bo Lida staruszka obarczona laty na pierwszy rzut oka samą zgrzybiałością lica była odrażającą; ale kto wpatrzył się w nią bliżej, kto z nią obcował jak Aldona i znał nieszczęścia jej minione — ten mógł pokochać nawet pocziwą duszę i serce staruszki.

— Cóż to? lękasz mi się dziecię? Aldono!... nie, to nie Aldona, to nie moja Aldona... Moja Aldona już straciła rumieniec, straciła krasny dziewicze... ona od lat dwudziestu co chwila starszą i więcej nosi znamion cierpienia... Czego tu chcesz, moje dziecię, i skąd przychodzisz do mojej chatki?... Czy tobie także imię Aldona?

— Jam Aldona, — odrzekło przestraszone dziecię, ale ochłonawszy powoli zbliżyła się znowu ku łóżu Lidy.

— Ach, kiedy ty Aldona, to daj mnie wody i chleba; mnie bardzo głodno, w piersi uciska coś mocno... ja dawno nie brałam pokarmu.

Dziewczyna podała w drżącą dłoń dzban staruszcze, i skibę chleba — a Lida chciwie polykała mleko i pożywała chleb zgłodniawszy przez dwie doby.

— Widzisz dziecię, ludzie nie zapominają jeszcze o Lidzie, Ziwa strzeże dni moich z góry! ona i w serca ludzi litość dla starców słabości zaszczepia... Jam bardzo była tu głodna,... ależ ty nie moja Aldona, ja ciebie nie znam dziecię lube...

— I ja was nie znam, babko; mnie przysłał tutaj mój rodzic i opatrywać was kazał, dopóki mnie siostra moja nie przyjdzie zastąpić za dni kilka...

— Twój ojciec kazał opatrywać Lidę?!..któż więc może być jeszcze pomiędzy ludźmi żyjący co o stariej pamięta Lidzie.. Pamiętaliżby?.. ale nie, Lida obcą dla wszystkich... I któż przysłał tu ciebie do mojej chatki, moje dziecię?

— Do waszej chaty?— nie, matko, to nie chatka niczyja, tu była niegdyś świątynia Ziwy co ludziom zdrowie daje i życie, ale od czasów jak Lachy pogubili ród Jadźwingów, od czasu jak Komiat stał się przyczyną naszej zaguby...

— Kto?... Komiata stał się przyczyną zaguby Jadźwingów? — któż tobie dziecię tak skłamał?..

— Mnie nikt nie skłamał, mnie i drobnym braciom rozpowiadał o tém dawniej mój rodzic...

— A któż twoim rodzicem?

— Moim ojcem jest Lut, wódz Jadźwingów sławny a pokrzywdzony przez Komiatów.

— Lut twoim ojcem, Lut pokrzywdzony od Komiatów! Lut powiedział że Komiata sprowadził klęski na Jadźwingów! — Ach, przeczuwało to moje serce! Niktby nie rzucił takiej na Komiata potwarzy, chyba ten co na niewia-
stę podniesie żelazo bez zgrozy — chyba Lut! —
Ha, ha, ha, ten zbrodniarz powiada że Komi-
atowie go skrzywdzili!... Ale powiedz mi gdzie
ja jestem, moje dziecię?..

Dziewczyna zagniewanem spojrzała okiem na starą, kiedy ta na Luta miotła wyrzuty — a-
le rozumiejąc że stara przewrócony ma rozum,
nieobjaśniona w niczem przez ojca, odpowie-
działa jej wprost na pytanie.

— Lut przyprowadził was tu matko wczoraj —
jesteście w grocie podziemnej, w świątyni Zi-
wy. Lut zapewne znalazł was omdloną w borze
i wyświadczył wam litość matko; pewno i do

swój chaty zabierze — ale ja nic więcej nie wiem....

— Lut mnie przyprowadził tutaj... A! przypominam sobie.... tak, znalazł mnie w mojej chacie... tak, jam osłabła... mnie ustawały nogi.... oni mnie wlekli... bez litości... tak, przypominam sobie dobrze... Lut i Wajdelota... Ha, ha, ha! Wajdelota co na Pekole zaklinał mnie abym mu wyjawiała moje tajniki....

Tu dopiero Lida przypomniała sobie wczorajsze z Lutem wypadki — a zaraz przybierając swój zwykły charakter umilkła i przywlokłszy się do ogniska w milczeniu rozgrzewała zziębnięte członki.

Młoda dziewczica napróżno dawała jej zapytania. Lida nie wyrzekła i słowa pograżona w zadumkę. Tylko czasami spojrzała po ścianach groty oszklonych dymem i wilgocią, wpatrywała się w bóstwo i ołtarz, a potem, jak gdyby coś sobie przypominała, dumiała z napięciem malującym się chociaż w przygastem spojrzeniu. Mijały długie chwile, już słońce wzbite na południowy punkt nieba zaglądało otworem z góry do groty, Lida ciągle milczała — i prosiła tylko o mleko i kęs chleba, bo była jeszcze głodna.

Nad wieczorem Lida spodziewała się pewno Luta bo zaraz rzuciła się na posłanie i zasnęła.

Młoda Aldona, córka Luta, przysłana przez ojca do świątyni Ziwy, miała rozkaz dawać jej pożywienie i czuwać nad tem aby nie wymknęła się z ukrycia. Nie wiedziało przecież dobre dziecię dlaczego ojciec uwięził staruszkę; błędne jej myśli wprowadziły Aldonę w zadumę, i nabawiły bojaźni, rozumiała bowiem że to szalona albo czarownica. Przytuliwszy się około ogniska nie śmiała ani oddechnięciem przerwać milczenia przez wieczór cały, ani też usnąć nie mogła. Około północy usłyszała rumot przed wejściem do podziemia i przytłumione jakieś głosy, między którymi ryczący głos nieznajomy, głos swojgo ojca Luta i płacz jakiejś niewiasty. — Głosy zbliżały się coraz wyraźniej, aż nakoniec wszedł Lut pobladły z rozczochranemi włosami i zawołał dzikim na Aldonę głosem: „Rozłoż ogień większy i oświeć za posągami grotę!« Podniosła się w milczeniu i wykonała rozkaz ojca niezwłocznie. Lut tymczasem z kilku towarzyszami, między którymi był i Wajdelota Skirmunt, wciągnęli przez ciasny otwór z zawiązanymi oczami w skury niedzwiedzie odzianego męża i płaczącą niewiastę. Lida zasypia-

ła twardo, czy też udawała sen, niewiadomo. — Płomień oświecił jaskinię żywym światłem, oczy więźniów były wraz z twarzą zakryte, trudno więc było młodej Aldonie rozpoznać ktoby oni byli — ubiór tylko że to są Jadźwingowie pokazywał.

— Pastwij się! pastwij nikiemny! Wielcy są Jadźwingów bogowie i ukarzą niesprawiedliwość twoją, zbrodniarzu! wołał powiązany starzec, a niewiasta zalewała się tylko łzami wyrzekając boleśnie:

— Niedość było stracić ukochaną Lidę, jeszcze mi dożyć przychodzi nieszczęścia Olelka!!... O Lucie, Lucie niegodziwy! ileż ofiar z za grobów woła do bogów o zemstę na ciebie? Czyliż twoja dusza nie nasyć się nigdy krwią bratnią? Niedość ci było upadku Komiata, i drugiego pana chcesz strącić... i dawnych Komiata przyjaciół wygładzić?!

— Aldono! nie rozpościeraj twych żalów bo one... próżne, tak próżne. Gwiazda nieszczęśliwa zdradza nam co chwila nowych nieprzyjaciół... rozumiesz?... A ty, niesyty krwi starcze, nasyć się, nasyć! uderzaj w bezbronne piersi — tak jak czynią zwykle nikiemni!

— Uderzyć w twoje piersi, Olelku? Nie, ty żyw zostaniesz długo jeszcze; gdybym cię miał

był zabić, czy niedosyć mi było wypuszczenia z łuku strzały? na tożbym miał silić się tyle, aby żywego ciebie w moje pochwycić ręce? Ale dosyć mi na dzisiaj, i tak z wami miałem do czynienia wiele, czas i wam uia większe trudy wypocząć. Zaprowadźcie ich do groty za posągiem — Aldono, córko moja, czuwać będziesz nad tém aby ich żywić — a wy nad tém baczność rozciągniecie iżby nie uszli ztąd krokiem.

Lut wyrzekł i dwaj młodzieńcy pochwycili Olelka i do ciemnego zawiedli lochu; wepchnięto tam i Aldonę, a głąz wielki zamknął ich na długo, zostawiając mały tylko do podawania pokarmu otwór.

Olelko rozwiązany rzucił się na ziemię wilgotną i pogrążył w dumania, Aldona siadła w zakątku, a niemogąc widzieć Olelka, każde jego liczyła westchnienie. Lut tymczasem odprawiawszy niepotrzebnych zbliżył się do posłania Lidy wraz ze Skirmuntem i wpatrywał w pobladłe jej lica. Oczy Lidy były zamknięte — ale usta szeptały niezrozumiałe bez związku słowa...

— To Aldona... poznałam jej głos, Aldona płakała — słyszałam i ciebie synu... nieszczęśliwa ja matka... Będę milczeć upornie chociażby mi odebrali życie... tak... nie im nie powiem!...

Lut nadstawivszy ucha dostyszał ostatnich słów szeptania, dał znak Skirmuntowi — a ten zbliżywszy się po chwili milczenia do niewiasty wołał na nią zeicha: —

— Lido! rozbudź się!

— Któż mi sen przerywa?

— Twój przyjaciel który oswobodzić cię przychodzi ...

— Przyjaciel?! Alboż ja mam przyjaciela? ja miałam tylko jedną przyjaciółkę, wierną Aldonę, ta poszła prosić chleba u ludzi dla mnie starej i słabej — ona powróciła już pewno do mojej chatki — o biedna Aldona! ona już nie zastała tam swojej Lidy!

— I Aldona i ktoś jeszcze popadli w ręce Luta, ale syn twój Lido niemogąc sam ponieść ci ratunku mnie przysyła, abym cię z rąk nieprzyjaciela wybawił...

— Mój syn?.... mój syn?.... Któż to o moim synu mówi?... Alboż żyje który z moich synów?.. Miałam ich kilku, ale jedui pomarli w dzieciństwie... a drudzy poginęli od miecza. —

To rzekłszy podniosła się Lida, wsparła na dłoni i spojrziała na Luta i Skirmunta. Ogień tlał jeszcze na ognisku, płomień jaskrawy do-

gorywających główni oświecał blado ich lica, długo wpatrywała się w obudwu staruszka, a rozśmiawszy się szydersko, głucho: — » Tak, wy przyjaciele moi! « zawołała; » i cóż wam litość obudziło w duszy? — ty Lucie co wywlokłeś mnie okrutny z mojej chatki, wyrwałeś mnie ze spokojnej ciszy i teraz przychodzisz mnie uwolnić? i jakiegoż to mam ja nieprzyjaciela, kiedy ty chcesz nazwać się moim życzliwym?.. O niegodziwy! I cóż tobie z mojej przyjdzie zguby?

— Lido, nie chcę twojej zguby, nie znałem ciebie nigdy, przypadek zrządził iżem dowiedział się o twoich związkach z nienawistną mi rodziną. Możesz uwolnić się jednem słowem — odpowiedz mi tylko, czy żyje Romiat? kto jest Olelko? i kto tobie powierzył Mleczka w opiekę?

— Czy żyje Romiat? kto jest Olelko, i kto mi w opiekę powierzył Mleczka? — Kilka dni swobody nim zamknę powieki mam ten wyznaniem okupić? W istocie, niewielka to cena, słów kilka i odzyskanie wolności. Ale powiedz mi Lucie, czy na te dni kilka co brakuje mi ich do śmierci, powróci do serec młodzieńczych lat wesołość, spadnie ów ciężar bóleści i trosk, z połowy wieku zebrane owoce — wróć-że mi

moje dziatki, mój mąż, moje szczęście i znaczenie dawne?....

— Niewiasto, nie szydź ze mnie; wiedz o tem że Olelko i twoja Aldona w moich rękach — Mleczek i Zdzisław, synowie Komiata, również popadną w moją władzę, a śmierć ich lub życie od twojego zależą wyznania!

— Ich życie zależy od mego wyznania? to dziwna; i cóż ja na ich obronę powiedzieć ci mogę?... Jam przez lat dwadzieścia zdala od ludzi, z nikim oprócz Aldony nie obcowałam; czasem tylko zajrzał do mnie...

— Od lat dwudziestu! a dawniejsze twoje życie?

— Dawniejsze moje życie cóż wpływać może na ich losy!

— Znałaś Komiata?

— Komiata nie... nie znałam nigdy, odgłos tylko jego czynów dochodził moich uszu; był to wódz wielki jak to wszyscy z Peruginów rodu mężowie — sam jego upadek był wielkim!

— Kto powierzył tobie wychowanie Mleczka?

— Co to, to mogę powiedzieć ci zaraz. W ostatniej klęsce Jadźwingów i ja przymuszona byłam uchodzić przed orężem nieprzyjaciół w głębokie lasy — i w drodze znalazłam pach-

lę drobne. I nieszczęśliwi, chociaż sami ścigani, mogą przecież dopomóc nieszczęśliwym opuszczonym. Tak i ja podniosłam z ziemi opuszczone zgłodniałe dziecko — Aldona karmiła je swoją piersią. Uniosłyśmy Mleczka aż do tej chatki z której wywlokłeś mnie bez litości. Na piersiach dziecięcia spostrzegłyśmy wyklute godło co ród panujący Komiatów oznacza. Od-tąd tym więcej pilnowałyśmy książęcej sieroty. Aldona strzegła go jak oka w głowie, aż po kilku latach, jednego razu przybył do nas starzec, przybył nad strumień gdzie ja siedziałam zszywając odzienie a mały Mleczek gonił rybki po wodzie. Starzec wpatrywał się zdaleka w dziecko, przybliżał się doń coraz więcej i ciekawie wpatrywał. Mała sierota nie znała innych ludzi oprócz mnie i Aldony, dlatego uciekał od nieznajomego Mleczka i do mojego przytulał się łona pokazując bojaźliwie na obcego.... Spojrzałam w tę stronę.... i... i.. pierwszy raz uj-rzałam Olelka.... Zbliżył się do mnie i za-pytał czyliby to do mnie należało to dziecko? Widząc poczciwość malującą się w jego oczach opowiedziałam mu przygody małej sieroty. O-lelko wtedy pytał mnie znowu czylibym znała to godło które zdobi pierś dziecięcia — a na-stępnie gdy mu nie odpowiedziałam... wytku-

maczył mi że to ród Peruginów oznacza i że to dziecię jest Komiata dziecięciem... Olelko odwiedził nas jeszcze raz kilka, powiedział nam potem że jest wodzem Jadźwingów, nie ma dzieci i życzy sobie aby potomek Komiata dzielnego wodza odziedziczył kiedyś buławę rodzica. Oddaliśmy mu zatem Mleczka, a starzec dobry wychował go troskliwie i pokazał ludowi dziecię Komiata. Więcej o Mleczku powiedzieć ci nie mogę, bo ty sam widywałeś go częściej odemnie — a Olelko nawiedzał mnie czasami na wiosnę lub w jesieni — i wdzięczna mu byłam zawsze za staranie około tego dziecięcia które wychowywałyśmy z Aloną od pieluch. — Cóż chcesz więcej odemnie?

— Nie wierzę, nie wierzę tobie — drżą twoje usta, błakają się myśli, ty nie powiedziałaś mi prawdy — nie powiedziałaś wszystkiego — ale ja wyrwę tajemnicę z twojej piersi — mam w rękach moich Olelka, Aldonę, dręczyć was będę z kolei. Mleczek i Zdzisław po niedługiej chwili razem z Olelkiem w ciemnicy zasiądą — jednego tylko jeszcze... jednego tylko... a dosięgnę moich celów, moich zamiarów rojonych od lat tyłu... Ty, niewiasto chytra, powoli wszystko mi wypowiesz... wydrę wszystko z głębi twojego serca!

— Lucie — a czy ty wiesz jakim skarbnikiem jest serce? O, moje serce, to serce z żelaza! Nie mam tajemnic, lecz gdybym jakie miała i zamknęła je tam w głębi, niktby ich ztamtąd Nie wydarł. Wyrwij to serce z piersi, pal je na ogniu, męcz okropnie, spalisz serce razem z tajemnicą, umęczysz i nic się nie dowiesz!

— Już dowiedziałem się wiele a dowiem się i reszty. Dość mi tego na teraz co wiem o tobie samej — wiem że posiadasz tajemnicę — kto wie o skarbie ten i skarb posiędzie — tak jedno płynie z drugiego.

— Czémże mnie zmusisz? czy męczarniami lub śmiercią? Ach, spojrzij na moje ciało — wyschłe u mnie kości już nie mają szpiku, bo ten zdawna łzami wypłynął — ciało moje jak martwe, tak zwiędłe już nie poczuje męki — duch tylko jakoś kołace się jeszcze po tem cielsku zbolełam i nie chce ulecieć — nie wiem dlaczego — szczęśliwa będę jeśli go wyciśniesz z ciała.

— Nie lękasz się katuszy, nie lękasz się śmierci. — O! ja nie będę nastawał ani na męki, ani na życie twoje — owszem przechowywać je będę — wypowiedzieć mi musisz.... bo nie przestanę cię i przez dzień wybadywać choć jeden.

— Zamknę usta i nic nie odpowiem ci nigdy....

— Ja snu twojego pilnować będę — może przez sen odpowiesz mi prawdę....

— Przez sen!... to prawda, mogłabym przez sen coś mówić — ale ja nic nie wiem i nie powiem.

Opuścił Lut staruszkę — a ona maca dokoła siebie rękami — to pójdzie do ogniska i ręce parzy w zarzewiu, to piersi głownią opala — a gdy młoda Aldona zawiodła ją na łożę, rozśmiała się dziko tryumfująco i wołała:

— Oj nie doczekasz snu mojego! ten ból mi zasnąć nie da i na chwilę — a niedługo i umrę!....

Położyła się na mchowém pościaniu, pierś dłońmi suchymi przyciska, a im bardziej ból ją trawi, im okropniejsze cierpi męki — to śmieje się okropniej, tym dziksze z piersi wybiegają jęki. Tak trawi noc całą i dzień cały, nie weźmie do ust pokarmu, i tylko Aldona zlewa jej pierś spaloną mlekiem, leje do ust zdrojową wodę — a życie tak mocne, tak silne, jak gdyby przyschło do wywiędłego ciała — dusza nie może porzucić zbolątej lepianki.

Ale powrócemy znowu do Mleczka — gdzie on obraca się i jak tropi Luta.

Zaledwie młodzian opuścił Olelka, nie spoczywał i chwili tylko do koczowiska zdążył, spodziewając się tam znaleźć Luta. Biegł przez dzień cały i nad zachodem słońca stanąwszy w dolinie ujrzał Luta wychodzącego z chaty ku borowi czarnemu z kilku towarzyszami. Zbiegł im drogę — ukrył się w gęstwinie, a gdy zbliżyli się w tę stronę, postępował za nimi w cichości śledząc każdy ich obrót — najmniejszą podstuchując rozmowę — a co się dowiedział w następnym zobaczymy rozdziale.

Walczyk...
 wywalił i chwili...
 spobizawał się tam...
 dzień cały i nad...
 w dolinie...
 na potw...
 biegł im drogę...
 zbliżył się w to...
 w cisłości...
 że podal...
 w następnym...

2.

— Ze Komiąt żyje, co chwila więcej nabieram pewności, mówił Lut do Skirmunta; porwyczość moja zniszczyła wyrachowane zamiary; gdybym był chociaż chwilę dłużej udawał przyjaciela Komiatów rodu — może Lida byłaby nam powiedziała co o nim...

— Niewszystko jeszcze stracone... powierzonym jest tylko upór niewieści — Lida ulegnie — wypowie nam wszystko... gdyby jeno pochwycić tych wszystkich co nam na zawadzie stoją...

— Kogóż mamy pochwycić?

— Lida wyznała że z Olelkiem widywała się często — on więc pierwszy dowie się o zniknięciu Lidy — Towarzyszka Aldony powiedziała by mu o tém . . . gotowiby nas wytropić . . .

— Skirmuncie, czyliż to wszystko zaspokoić zdoła moje serce mściwe? czyliż Olelko, Aldona i Lida zamknięci przed światem — zabiorą z sobą moje niepokoje? zaśnież z niemi ta zgryzota co mnie trawi? . . . Co chwila stawa na myśli ów Komiata, na którego zgubę nastawiałem . . . Któż jest ten Olelko? on zawsze broni Komiata przed ludem, we wszystkich obudza szacunek i miłość ku pamięci dawnego wodza . . . Może ten Olelko jest dawnym przyjacielem Komiata, który poświęca na to wszystkie siły, aby Komiatowi powrócić utraconą buławę. Zdzisław syn starszy Komiata wychowuje się między Lachami; wytropiłem już tego młodzieńca, zgubić go muszę! — Mleczko, syn drugi Komiata, wiedzą o tém Jadźwingowie, a czyny jego i męstwo pełne ognia przynęcają ku niemu wszystkiego ludu serca. . . Skirmuncie, lat tyle pracy wytrwałej miałżebym porzucić bez dopięcia celu? nie, na Pekole przysięgam! muszę buławę osiągnąć dla mnie, dla mojej rodziny. Dziś staram się pogłębić myśl połączenia się wiecznym z Litwą węzłem, ale gdy

stanę u szczytu i władać będę Jadźwingów myślami...

— Ale słuchaj Skirmuncie, czyliż niedocieczemy nigdy jakim sposobem Olelko mógł posieść buławę po Komiatach?

— Wola w tem bogów widoczna. Nieznany nikomu, z dalekich stron Jadźwinga — jego imię nigdy nie było głośne zwycięstwami.... Klęski gnębiły coraz więcej wróżby wieszczków — wola Krywe-krywejty — i głos cudowny, ... Olelka na Komiatów godność wyniosły.... i podobno że jego zwalić będzie trudno... bo za ledwie odzierzył władzę nad ludem, przeminęły dawne klęski i coraz pomyślność mnożyła się poczęła; corocznie przybywa do nas po kilkanaście tych rodzin co już dawno poddały się — a przytęm spokojność.., i dostatek wszystkiego....

— Wszystko to niczém: gdyby mi tylko chodziło o zwalenie Olelka, dosyć jednej strzały... mnie chodzi o Komiaty... Olelko i Lida wiedzieć o nim muszą....

— A więc pochwyćmy z kolei tych wszystkich....

— Męczarnie zmuszą ich do wyznania.

— Dobrze więc, Lucie, zabierzmy się do dzieła! nie tracąc czasu i chwili...

— Naprzód pochwyćmy tych wszystkich co najbliżej... Olelka, Aldonę... Aldonę!... ach Skirmuncie, czy nie przypominasz sobie tego imienia?...

— Nie, nie pamiętam....

— Aldona była małżonką Komiata, którą on porzucił, pokochawszy ową Laszkę — córkę Wojewody.. Bożenę....

— Bożenę... mówisz?... tak, pamiętam — Bożena, piękna Laszka, była Komiata małżonką.

— Ale mówię ci o pierwszej Aldonie: nie byłaby to ta sama Aldona wzgardzona przez Komiata małżonką?

— Dowiemy się o tem....

— Tak, dowiemy... gdy ona raz dostanie się w nasze ręce, a teraz najpierwej... Ale w jakiż dostaniemy go sposób?...

— Olelka?... najłatwiej. Będzie sam powracał, uczynimy zasadzkę.... Aldona zaś, ta pewno w chacie Lidy lamentuje po stracie towarzyski....

— Przedewszystkiem wybadamy jeszcze Lidę... raz jeszcze. Świątynia Ziwy to dla niej za ciężkie więzienie, tam promień słońca nie

dochodzi nigdy — powietrze wilgotne, a nam potrzeba jeszcze długo życia Lidy

— Lecz za to najbezpieczniejsza to kryjówka.

Posłuży nam dla Olelka i Komiatów młodych...

Słyszał to wszystko Mleczek, już dosyć tych wiadomości dla niego, wie że Lida w Ziwy świątyni, on zna tę kryjówkę, pokazywał mu ją Olelko dawnymi czasy, ta świątynia była zawsze uroczystą dla Olelka, a Krywę-krywej to opowiadał mu, jak kiedyś będąc wajdelotą jeszcze, pilnując tego przybytku, leczył tam rany Komiaty. Mleczek dowiedział się jakie niebezpieczeństwo grozi Olelkowi, Aldonie, jemu samemu i jego nawet bratu, co wychowywał się i dotąd przebywa pomiędzy Lachami... tu zaraz na pamięci stanął obraz Diwany. — Ach! gdyby zginął Zdzisław, jakże nieszczęśliwą byłaby Diwana! A Lida matka Komiaty w ręku dzikiego Luta, chciwego władzy zbrodniarza... dość mu było tych wieści, dość zastanowienia chwili. Mleczek pobiegł co prędzej w ową stronę gdzie pozostawił Aldonę i Olelka. Przybiega do tego ogniska gdzie znalazł ich oboje... jeszcze tkwi na gałęzi kawał opalonego mięsiwa, ale zimna kotlina, oni tu już nie postali. Zgłodniały Mleczek posila się przez chwilę resztkami pozosta-

łemi z biesiady w dalszą znowu udaje się drogę, a dźwiękiem swojego rogu rozbudza knieje bezskutecznie. — Tak błąkał się po kniei aż do rana i próżne były jego poszukiwania.

Nie potrzebuję powtarzać co zrobił Lut owe nocy, to tylko powiem że niedługo potem jak opuścił ich Mleczek, jeden z rozesłanych dookoła Luta Jadźwingów przyniósł wiadomość, że niedaleko wąwozu dojrzał ognisko, a przy niem niewiastę czuwającą i opartego o drzewo starca Niewiasta zalewała się łzami — starzec, czy usypiał, czy pogrążony był w dumaniach, tego nie wiedział donoszący. — Skoro dowiedział się Lut o tem, natychmiast skierował się w ową stronę. a zebrawszy hasłem kilku towarzyszy, podwłókł się aż pod samo ognisko. Sokole jego oko wnet poznało Olelka, zaledwie przytłumić mógł wyrywający się z piersi okrzyk dzikiego tryumfu — dał znak towarzyszom — a podsunawszy się z cicha, tak napadli niespodzianie i raptem, że ledwie zbudzić się Olelko, a wykrzyknąć mogła przestraszona Aldona, już oboje pokrępowani w mocy zostawali Luta. Jak zawlekli ich do świątyni Ziwy i postępowanie tam z Lidą, opowiedziałem w poprzednim rozdziale.

Mleczek wysiłony trudami dni tylu, niespozcząwszy ani na chwilę przez dwie doby — upadł

wycieńczywszy ostatek mocy, kroku dalej postąpić niezdolny.

Zrana przebiegał jeszcze okolicę napróżno, a niepojmując gdzieby znajdował się Olelko, postanowił do wieczora samego zatrzymywać się w lesie, do koła tylko krążąc wąwozu, w którym była Ziwy świątynia. Przez dzień cały nie spotkał nikogo — a zaledwie mrok upadł na ziemię, krzewiną podsuwać się zaczął ku świątyni Ziwy. Kilkadziesiąt kroków zaledwie był od ciasnego otworu co prowadził do podziemnej pieczary — ujrzał dwóch młodców uzbrojonych, przechodzących się w pobliżu, jakby straż trzymając. Łącuch gęstej krzewiny ciągnął się do samego otworu nieledwie. Mleczek — chyłkiem pełzając, stanął tuż przy młodzieńcach, i wpatrywać się począł w obudwu sam niewidziany. Dość mu było jednego spojrzenia aby poznać tych synów Luta, którzy zawsze pogardliwym spotykali go wzrokiem. Starszy z nich, powaliwszy się na ziemi przy samym prawie lochu, oparł się na oszczepie i wpatrywał w bystro świecący księżyc. — Młodszy znowu obchodził od brzegu strumienia aż do stanowiska brata i nucił sobie starą piosenkę.

— Ucisz te śpiewki, rzekł starszy; wszakże rodzic nakazywał baczność i spokojność jak największą.

— Nie rozumiem wcale, poco ta ostrożność? I kogóż lękać się mamy jeszcze? — Owa stara czarownica niezdolna ruszyć się ze swojego gniazda, Olelko znowu i ta płacziwa niewiasta w ciasnej zawaleniu kamieńcem grocie, także nie wydadzą się podobno.

— A gdyby ich kto szukał i aż dotąd wytropił?..

— Nie rozumiem, ktoby tak skoro postrzegł ich więzienie, a zanim dowiedzą się ich przyjaciele, to już— i po nich będzie... Co zaś do tego żeby dowiedzieli się kiedy o ich losie, to zdaje mi się niepodobną rzeczą, bo któż uwiadomi ich o tém, a po mogile nie tak też łatwo rozpoznać kto w niej spoczywa...

— Jakkolwiek bracie, rodzic doświadczony nie bez przyczyny to zalecił; kiedy dostanie w swoje ręce Mleczka i drugiego jeszcze syna Komiadowego... co tam gdzieś między Lachami się kryje, wtedy będziemy mogli lekce ważyć wszystko...

— Czy rodzic przybędzie tutaj dzisiejszego wieczora?

— Trudno to przewidzieć co on myśli — jednakże z tego co usłyszałem z rozmowy jego ze Skirmuntem, zda mi się że jakąś daleką przedsięwzięł podróż — mają naprzód pochwycić Mleczka, a potem drugiego syna Komiata.

— Oj, gdyby w moje ręce dostał się ów Mleczeko dumny!

— I ja nienawidzę go równie jak ty sam.

— Piękna Diwana z nim tylko lubi zabawy...

— Przecież nie dla niego przeznaczona za żonę — wszakże to starszy syn Komiata miał ją posiadać. Miała być żoną młodego wodza Jadzwingów z rodu Komiata — będzie i tak żoną wodza, z tą różnicą że nie Komiata, ale Luta... jestem najstarszym mojego rodzica synem, po nim mnie dostanie się według obyczaj przodków buława — wtedy Diwana mną nie pogardzi...

Młodszy syn Luta spojrział pogardliwym wzrokiem na brata i odszedł — a Mleczeko jak skamieniały przysłuchiwał się rozmowie, ledwie pohamować zdolny gniew obudzony w piersi. Olelko i Aldona zamknęci w tej pieczarze, której strzegą synowie Luta, tu i Lida stara uwięzioną, dowiedział się tego jeszcze szlakując Luta zeszłej nocy — dowiedział się o swoim i

Zdzisława niebezpieczeństwie; potrafiż on odwrócić tyle nieszczęść z nad głów tylu drogich mu osób i z nad głowy własnej? — Mleczek nie namyślał się długo nad dalszemi skutkami, pierwszą jego myślą ocalić Olelka, Aldonę i Lidę. — Uderzywszy zdradnie na pojedynczo rozdzielonych synów Luta, zabiłby obudwu, wyswobodziłby więźniów — ale Mleczek nawet na zdradców zdradę uderzyć nie ośmielił się dotąd. Waleczy z myślami, zda mu się że słyszy jęk z podziemia wychodzący; — to jęk Olelka, Aldony lub Lidy. — Ach, oni cierpią, będziecie się ociągał jeszcze Mleczek? — Podniósł nieco głowy i spojrział dokoła — działać musi ostrożnie, bo gdyby sam zginął, zginą więźniowie, a Lut tym bardziej mściłby się na nich za śmierć którego z synów.

Starszy syn Luta pogrążony w dumaniach wpatruje się w niebo, szyderski uśmiech igra na jego licu; ten uśmiech, raz szyderski, to tryumfujący znowu; — on marzy zapewne o tem jak pognębi Komiatów dzieci i posiędzie buławę wydartą nieszczęściu, jak posiędzie Diwanę... Mleczek namyślał się jeszcze chwilę, łuk podnosi, napina zwolna strzałę — dłoń zadrżała: « mamże być zabójcą? » pomyślał. W tem z podziemia

sły chać tony głuche — rozpoznaje głos Lidy —
Lida pieśń nuci , a te dochodzą go słowa :

„ Wpijaj się głębiej do serca,
Głębiej boleści sroga,
Jęku niesyta —
Ach jak to duszy
Słodko i miło —
Ach jak to sercu
Rado, wesoło !

„ Precz śnie z powieki ! —
Precz wy marzenia ! —
Niechaj pierś moja
Waszemi tony
Pieśnią nie dzwoni !

„ Ach, wy marzenia !
Dla mnie jedynie
Wesołe, mile —
Miałabym chwilę
Własnej rozkoszy ,
Okupić zgubą
Drogich mi tylu ! ?

„ Męki, katusze
Głębiej, ach głębiej !
Tam moje serce....
Tu mózg.... jelita....
Może tam życie....
Mocniej ściśnijcie,
Ono uleci.. .

„ Chwila cierpienia,
I chwila bliżej —
Bliżej mogiły,
Bliżej do nieba —
Meżu mój drogi,
Z tobą ja znowu
Znowu szczęśliwa !

„ Lucie okrutny !
Dodaj katuszy
Z kości zbolałych
Pozwól wyjść duszy !
Ona uleci
Gdzie słońce świeci...

„ Męki, katusze,
Głębiej, ach głębiej ! —
Tam moje serce...
Tu mózg.. jelita...
Może tam życie,
Może tu życie,
Ono uleci,
Mocniej ścisnijcie !... 46

Głos Lidy przerywany, drżący, coraz wolniejszy, przerywany jękiem, słabnie, cichnie aż skończył...

— O droga Lido! Olelku! Aldono! może wy cierpicie tak wszyscy... pomyślał Mleczek; — niech zginą gnębiciele wasi! —

Dłonie podnosi, głowę wychyla — to bicie serca co pieśni Lidy jakby takt wybijało — ustało w tej chwili gdy Mleczek zmierzał w serce starszego syna Luta. . na licach przeciwnika uśmiech ten sam gości jeszcze... struna brzękła — strzała grzęźnie w piersi, topi się w sercu, ani jęku, tylko boleść wykrzywia lica, tylko wyprężył się ugodzony, ziewnął — krew buchnęła ustami i skonał.

— To jeden — a ty już nie zdradą ale zginiesz pod mieczem, krzyknął Mleczek podnosząc się z za krzewu.

— Kto tu? zapytał młodszy syn Luta...

— Dobądź twojego oręża — w trapiem licu poszukamy znajomości! broń się!

Młodszy syn Luta nie był lękliwy, dobywa miecza i bój wszeczyna się zajadły. Księżyc z góry obsypuje dolinę srebrnym promieniem — jakby srebrną snuł przędzę, tak z nurtów strumienia z fałdowanych ssie swoje blaski — na zmar-

szczkach wody rozstrzelone. — Puchacz zaszumił skrzydłem przylatując gdzieś od boru, usiadł na szczycie skały przypatruje się i uśmiecha, głucho jęcząc, z piekielnej rad biesiady. — Oj — bo lubią puchacze nad zbrodniarzy trupami łopotać, szaremi skrzydłami i nucić im grobowe pieśni, swoim śpiewem przynęcać do nich na pogrzebną stypę orły sępy i robactwo z pustyni. —

Walka zacięta przy blasku księżyca potrwa niedługo — bo syn Luta rosty i silny — a Mleczko chociaż nietak w barkach szeroki, nietak w dłoniach jędrny, posiada znowu ognia więcej — a zresztą tamten obstaje za zbrodnią i zajadle jej broni — Mleczko mści się niewinności! — Błyskają miecze — już syn Luta dwoma ranami krew roni — Mleczko zdrów i cały jeszcze — miecz jego nabiera hartu w krwi niepocziwego — jeszcze jedno cięcie... upadł syn Luta przebity — krwią broczy ziemię, piasek zębami gryzie.

Spojrzał Mleczko na dwa trupy, rzucił oręż i pada na piersi przed lochem pełza szybciej niż by wąż kręgami prześliznął się srebrnymi — już w pieczarze, w pieczarze tli się ogień, przy ogniu drzemie urodna dziewczoja, w rogu słyszeć jęki...

— Olelku, ! Aldono, ! Lido! jesteścież tutaj, prędzój że prędzój! ozwijcie się do mnie! ja was ocalić przychodzę!

— Ocalić? jęknął głos w rogu pieczary: ha! ha! ha! ty mój przyjaciel!.. Ocalić mnie przyszedł... Lucie! pójdź tu do mnie przypatrz się moim cierpieniom!... podsłuchasz ty snu mego? zrządzisz ty więcej boleści?... ha, ha, ha — ha, ha, ha..... ocalić mnie przychodzi! — wydrzeć z ręku... wydrzeć z paszczy cierpienia! — och ściśnij... ściśnij mi serce! — czuję jak tam kołace się coś słabiej coraz; może to życie — och — gdybyś je stamtąd wycisnął!!

— Lido! Lido tyżeśto? jam twój Mleczek, któregoś kochała, ja was przyszedłem wybawić — a gdzie Aldona, gdzie Olelko?...

— Może mnie spytasz o mego syna, może powiesz żeś ty moim mężem jak niedawno ludzi-łeś mnie że syn mój przysyła ciebie... Tyś Mleczkiem?! ha ha ha... O mój Mleczek dobre ma serce — jemu niegodziwa Łaszka dała życie, ale on ma serce Aldony, której ssął piersi,... a ty Lucie krwio-żerczy — ty chcesz nazywać się Mleczkiem!..?

— Przez Boga co ja pocznę!.., dobra dziewczyno powiedz mi gdzie Olelko gdzie Aldona? bo Lida....

— Dzieci Luta! dzieci Luta! Bracia moi! hej ktośn obcy pyta o Olelka, Aldonę! chwytajcie!

Krzyknęła dziewczica i na loch upada, biegnie za nią Mleczko, ... ona już w dolinie — spojrzała na starszego brata — „Ha spi niecnota, a Rodzie czuwać mu kazał! —” pobiegnie do młodszego, on zanurzył twarz w kałuży, zarył palce w ziemi, „czy i on zasnął także?” — Hej! sy, „nowie Luta! bracia moi! ktoś obcy wtargnął do pieczary i chce oswobodzić Olelka Aldonę Lidę?” I przychyliła się nad lica starszego, księżyc zaszedł za chmurę, ona wstrząsa jego ramie i woła: — „Bracie powstań! powstańże prędzej — dobądź miecza!” księżyc zabłyśnął — i ujrzała dziewczica pokrwawione lica brata, ujrzała, orle pióra strzępiące strzałę co w trupa nurzała się piersi..... „O nieba! Wojdyt nieżywy!...“ I biegnie do młodszego przełęczniona: „Lutku Lutku! — brat zabity — obcy wtargnął.. o nieba i on zbroczony!” — Mleczko wybiegłszy za córką Luta chciał ją pochwycić, aby niezanosła Lutowi powieści o synów zgonie — nimby on uprowadził więźniów — ale zobaczywszy jak biedna siostra chce zbudzić trupy braci — tak mu bolesno w sercu — nie śmie ku niej postąpić i krokiem — a kiedy Aldona młoda spostrzegła go za sobą — wstając od zwłok

Lutka — krzyknawszy dziko przeraźliwie uciekła w krzewinę — chciał pobiegnąć za nią Mleczek — ale już było nierychło, raz tylko mignął biały jej rąntuch w krzewinie i więcej niewidać a tu każda chwila droga. Wpada Mleczek do podziemia rozkłada ogień rzęsiasty zapala łuczywo tłuste i obiega dokoła ściany — spotyka także Lidy, i Lidę z popaloną piersią, rozdrapanem licem — śmiejącą się dziko — ale ona nie poznaje swojego Mleczka tylko błędne o Lucie chwytając myśli plwa w oczy młodzieńca i uśmiecha się piekielnie.

Obiega pieczarę do koła — próżno woła „Olelku! Aldono!“ echa gwarnie krzyczą — Aldono Olelku — ale głos nieodpowiada mu ludzki. Szuka jakiego przejścia — jakiego lochu znaleźć go niemoże — wszędy równe ściany, gdzie-niedzie tylko rozpadliny drobne — albo w niszach jakiego posąg bożyszczka. — Upada nad łóżem Lidy i ze łzami woła:

— Lido! zaklinam cię na miłość twojego syna Komiata! — na dawną chwałę i znaczenie twoje! poznaj mnie, poznaj twojego Mleczka, jam was ocalić przyszedł — każda chwila jest drogą... gdzie Olelko, gdzie Aldona?

— Pójdź tu! pójdźże tu do mnie niechaj zobaczę ciebie, twój głos podobny do głosu Mleczka...

Mleczek pochyła się nad Lidy łóżem oświeca łuczywem swoje i Lidy oblicze — ale zaschłe z bezsenności źrenice staruszki niemogą już nie rozpoznać — maca tylko po młodzieńca licach.

— Nie to nie mój Mleczek ja pamiętam mojego... wychowanka on był krasny i żywy jak iskra — on gonił po strumieniu rybki — ha, ha, ha, ty Mleczek głos udałeś Lucie — precz! precz poczwaro!

Tu rozpacz wzięła Mleczka, tarzał się po ziemi, bił piersi i czoło, jęczał głucho — to wykrzywił dziko — i znowu powracał do zimnej rozwagi — zwycięża siebie samego, chociaż drzą z niecierpliwości, gniewu, obawy, i dłonie i nogi, podnosi łuczywo — z uwagą opatruje najmniejszą szczelinę — przychodzi do posągu Ziwy — z za posągu słycać jęk przytłumiony, niby to płacz niewieści gdzieś w podziemiu... byłoby to echo jęków Lidy? — nie, słycać i śmiechy konwulsyjne Lidy — a ten jęk powtarza się jednostajnie głucho — to śmiech jakiś ryczący w tony tej boleści i znowu ucicha... i znowu powtarza się raz drugi, trzeci dziesiąty...

Czy poznał te głosy Mleczek, ja niewiem, ale na jego czole weselej — zapomina o własnem niebezpieczeństwie, zapomina o tem że nadejść może Lut ze swójemi — dobywa co tylko ma mocy, rozpacz ją podwaja — dzwiga i odwala kamień którego ledwie dwóch synów niepodzwigło Luta.

— Olelku! Aldono! jesteście tu?

— Mleczek! krzyknęła Aldona...

— Kto?! ryknął głos Olelka.

— Ach! to ja — to wy — o nieba jakżem szczęśliwy — wybawiłem was, uchodźcie, uchodźcie — póki czas bo zginiemy wszyscy.

— Jeszcze zdumiony niedowierzał Olelko i zatopił wzrok ponury w Mleczka — ale serce niewiasty domyślniejsze zawzdy, ona pierwsza poznała Mleczka — ona zerwała się pierwsza, chwytła Olelka i ciągnie za rękę, wołając: « uchodźmy uchodźmy — to Mleczek! »

Ledwie zostaje jej czasu na jedno uściśnięcie tego młodzieńca, którego swą wykarmiła piersią; ciągnie Olelka, Olelko jak martwy — znękany nieszczęściami — czyliż i on miałby rozum stracić! Ogląda się dokoła starzec wciągnięty do świątyni Ziwy, i poznaje dopiero te ściany co

tyle więzą wspomnień z jego młodości — a tam w rogu słyhać to śmiechy to jęki — one silniejsze od wspomnień miłosnych — poznał je do razu Olelko — « Na Peruna! » krzyknął: « to Lida — ach biegnijmy ratujmy ją ratujmy! »

Rzuca się Olelko i ściska konwulsyjnie staruszkę; i woła: « Lido! Lido! matko moja! znalazłem cię przecież — ciebie Lut pochwycił Lut naszego nieprzyjaciela rodu — ale ocaliły nas wszystkich nieba! »

Mleczko zdziwiony oglądał to na Aldonę, to na Lidę, to na Olelka i sam pojąć nie może co to wszystko znaczy — Olelko nazywa matką swoją Lidę — Lida matką Komiata — byłżeby Olelko komiata? Ale niestaje czasu młodzieńcowi do rozmyślenia — przypomina sobie niebezpieczeństwo wzrastające co chwila.

— Olelku! przez Boga — uchodźmy — unieśmy Lidę — za chwilę przybędą może Luta towarzysze zbrodni — nie traćmy czasu byśmy nie popadli w nowe niebezpieczeństwo wszyscy!..

— Kto znowu?... Komiata mój syn... ha, ha, ha, oni mojego syna udają znowu... alboż ja miałam syna kiedy — alboż ja znałam Komiata?... ha ha ha Lucie ty mój syn! precz dręczycielu! precz nie cnoto!....

— Matko moja! spojrzij na mnie, poznaj twój syna! To ja twój syn! Komiat!...

Lida wstrząsnęła głową zeschę z pragnienia drgają usta — uśmiech bolesny okropny — igra na nich jeszcze — chce coś mówić ale brakuje już głosu w piersi — serce bije coraz powolniej — przyciska poparzonemi dłońmi pierś opaloną — łza oschle raz jeszcze oblewa oko — spogląda dokoła.

— To nie oni — to Lut — to Wajdelota! wyszeptały usta i wyprężają się członki — zamykają się powieki — czy Lida zasnęła czy skonała — niewiadomo — bo Aldona oderwała od niej Olelka — Mleczek obwija w rautach ciało Lidy wywłóczy się razem z tym ciężarem na dolinę przez ciasne lochy — znowu powraca wyciąga z Aldoną bezprzytomnego Olelka. — Świeżość powietrza chłód jesiennego szronu gaszą rozognionej krwi szybkie krążenie — Olelko wstrząsnął się konwulsyjnie prawie i jakby zrzucił wszelką miękkość z siebie — odzyskuje całą przytomność, za stanowienia chwila obznajmia go ze wszystkim co w około dzieje się niego pyta o Lidę — pokazuje mu ją Aldona — podnosi wspólnie z Mleczkem i uchodzą ku puszczy.

Idą idą i mileczą — Lida kościeje na zimnie coraz widoczniej — wyprężone członki zastygły

w bryłę lodu — czuje to Olelko, czuje Mleczeko. poznała i Aldona — chociaż boleść serce ściska w każdym sercu jednakże silniejsza nad boleść żądza..... Olelko zacisnął głos w piersi i milczy, rozmyślając tylko — Aldona wyrzeka łamie ręce i łzy leje — a tych łez w Aldonie niewyczerpane źródło tak jak wielkie boleści i trosk brzemie — płacze Aldona i żałuje Lidy — płacze i jęczy bo nie masz już nikogo coby znał jej cierpienia i ulitował się niedoli. — Spogląda to na zimne Lidy zwłoki. to na zasępione Olelka lica — a Mleczeko czyli rozumie tę boleść i te spojrzenia Aldony?

Mleczeko widział rozpacz Olelka — jego jęki i wyznania nad łóżem Lidy — on nazwał Lidę swoją matką — « poznaj, wołał: twojego syna Komiaty! » dość tego już Mleczeko poznał swojego rodzica — ale niebezpieczeństwo grożące, boleść i smętna starca zaduma niezostawiają mu i chwili sposobnej do rzucenia się w jego objęcia do uściskania Ojca! W sercu Mleczka coraz rzewniej — obraz śmierci, trup Lidy w jego dłoni już go nie przejmuje żalem niezuajdzie tęsknota i smutek przystępu do serca Mleczka po stracie ukochanej opiekunki Lidy — bo młodzian znalazł ojca — ojca którego znał i kochał od dzieciństwa a nieprzeczuwał w Olelku dawcy życia.

Już zabielała na niebie jutrzienka księżyc z nieba schodził — kiedy pierwszy ozwał się Olelko.

— Dość uszliśmy daleko — spocznijmy. Nie żyje Lida znalazłem ją, już mnie niepoznała — już nam teraz nie spiesznego, do gwałtownych namysłów czasu dosyć zostaje. Oto dąb święcony, dąb który w dzieciństwie polewałem mlekiem, tu pieściła mnie na łonie swoim Lida — Oj dawno temu dawno! .. Na tej dolinie stał książęcy dworzec tu mój rodzic przebywał często — zginęli wszyscy co tu żyli kiedyś, jam tylko pozostał jeden... sam jeden!

— Ojczy! wołał Mleczek rzucając się do nóg Olelka — tyś Komiat, tyś mój Rodzic, dla czegoż ukrywałeś to przedemną?... nie wyrzekaj przynajmniej teraz na los — nie mów że niezo stało z kochających cię nikogo! Jam twój syn a Zdzisław twój syn drugi!..

Starzec spojrział na Mleczka — i tak mu bólnie zrobiło się w sercu — jemu niepierwsze widzieć i uściskać Mleczka — ale teraz ściska go i darzy syna imieniem — a Aldona stoi z boku i płacze gorzko. Ona kocha Mleczka — szczęśliwa z tego, że młodzieniec osiągnął cel wszystkich swoich myśli — dla czegoż tak drzy ona płacząc?

Tam ciężka w sercu gości boleść — spojrzął na nią Olelko, ulitował się widać jej niedoli — bo postąpił ku niej i mówił:

— Łaszka, Łaszka którą kochałem i przeniósłem nad ciebie — nigdy niebyła mi wzajemną! Ty Aldono pogardzona, do dzisiaj byłaś mi wierną... do dzisiaj kochałaś mnie niewdzięcznego! — Starania około Lidy, troskliwość o moją całość o moje zdrowie... Ach Aldono, czyliż powracając ci moje serce potrafię dzisiaj sześćdziesięcioletni Starzec zatrzeć twoje cierpienia?

— O Komiacie, dla mnie dość szczęścia zyskać twoją przyjaźń — i moja posiwiiała kosa; i moje pobladły lica... już to niedawne krasa... wyplakałam przez lat dwadzieścia wszystkie moje wdzięki, wyplakałam je za tobą — a więc ty niepowinieneś gardzić starą i zmienioną Aldoną — bo moje serce takie jak wprzódy.

— Dobra Aldono, Bogi karały mnie i karzą do dzisiaj za ciebie — pamiętam skon twojego rodzica byłem jego świadkiem. Przeklinał mnie za ciebie przeklinał wszystkie dni moje dopóki dręczyć będą Aldonę którą kochałem i zaślubiłem... Spełniły się jego wróżby — upadły na moją głowę przekleństwa późno... choć

późno przebacz mi Aldono, przebacz mojej młodości...

To mówiąc Komiat (tak go zwać odtąd będziemy) podał dłoń Aldonie — pochwyciła ją i przycisnęła do serca. Niebyło tu pieścizot, bo dawno w sercach i krwi wygasł ogień młodzieńczy. Serce niewiasty przechowa tkliwą rzewność do zgonu, ona stojąc nad grobem kocha jeszcze kocha miłością — ale niewiasta co przecierpiała lat tyle już nie uniosła się szaleństwem radości. — Spadł jednakże z serca Aldony jakiś ciężar, chociaż łzy płyną z oczu już to nie łzy boleści — uścisnął ją Olelko; uścisnął przyjacielsko; ona zawsze przeczuwała jego dobro i znała jego charakter wspaniały i mężki przebaczyła mu dawno, uścisnęła i teraz; i nietak jej dziwno i radośnie odzyskać serce Olelka bo ona spodziewała go się zawsze.

Ale dla czego Olelko od lat dwudziestu z górą utraciwszy Bożenę — od szesnastu znalazłszy obok Lidy Aldonę poświęconą dla matki jego tak szczerze — dla czego nie powrócił jej serca swego dawniej? Czyliżby wtedy nie poznał jeszcze Aldony tak dobrze? o nie. Olelko znał jej przywiązanie; ale jak wszystkie siły kochania zatopił kiedyś w Laszce w Bożenie, tak żałował długo po niej; a upór, wrodzony każdemu razem

z dumą, nie pozwalał mu długo uczynić tego, co nakazywało sumienie, czego i serce pragnęło. Poświęcony sprawie Jadźwingów, dobru tego znękanego ludu który odzyskał znowu w swoją pieczę, nie pozwalał mu znowu zajmować się własnymi sprawami. Ale o tem wszystkiem dowiemy się niezadługo z opowiadania Aldony; tymczasem zobaczmy co stało się dalej.

Po wynurzeniu uczuć długo tłumionych, wszyscy troje nad zwłokami stojąc Lidy odmiennie byli usposobieni. Aldona odzyskała serce Komiata i dosyć jej na tém — już nie tak bolesno po stracie Lidy. Mleczek poznał w Olelku Komiata swojego ojca — a młodość zawsze ciekawa; usunąwszy z oczu obraz zmarłej Lidy przebiega całą krainę pamięci niespokojnie, radby wyjaśnić wszystko: dowiedział się wiele i bardzo mało wie jeszcze — dlaczego Olelkiem nazywał się lat tyle, dlaczego nie poznał go Lut, ani też nikt z Jadźwingów aż dotąd.... w tém wszystkim tak wiele jeszcze tajemnic — a wszystkie tajemnice każdy z młodych ciekawy odgadnąć jednej chwili. Spojrzy na piersi Komiata przez roztwarte odzienie, i widzi tam godło Peruginów ród cechujące — a zresztą on wierzył od pierwszej chwili niezachwianie — bo Olelko zawsze tyle miał powagi, tyle mocy nad

umysłem Mleczka, że młodzian nie odważyłby się powątpiewać o prawdziwości słów jego.

— Tu jeszcze nie bylibyśmy bezpieczni od Luta; znam ja niedaleką kryjówkę — podnieś ze mną Mleczku zwłoki Lidy, pójdziemy dalej jeszcze.

Postąpili brzegiem zarośli gdzie spadzista zaczynała się góra, i znaleźli pośród gęstwiny z kamienia zbudowaną świątynię małą — tam znaku ludzkiej stopy nie było — nie zna jej i Lut albo nie pamięta, i nie zajdzie tutaj choćby ścigał wybawionych więźniów. Złożyli ciało Lidy przy posągu w głębokiej niszy — Aldona skropiła je łzami i przykryła rančiuchem — a potem zawołana od Olelka tę usłyszała jego wołą.

— Aldono, zostaniesz tutaj razem z Mleczkim do czasu póki nie wezwę was do siebie. Pilnujcie zwłok mojej rodziny — najdalej za dobę, a choćby i później nieco przybędę tutaj. Mleczku, w twoim sajduku strzał widzę dostatek — tam nad strumieniem jelenie zawsze bywają — postarasz się o żywność dla Aldony i siebie. Gdyby was wytropiono, obronić się tutaj łatwo — popchniesz tylko to żelazo — upadnie kamień z góry i zamknie was przed nieprzyjaciółmi. Małym obronisz się otworem, a nimby dobrali się do was przybędziemy z pomocą!

Aldona zaraz nazbierała drzewa, mchu i gałę

zi do-tatek — i naznosiła do opuszczonego budynku; Mleczek poszedł z łukiem — a Komiat udał się ku koczowisku w tę stronę.

Nie spoczywał, aż w miejscu, gdzie rozproszone po lesie; zawsze gotowe podnieść za Komiatę oręż mieszkało pokolenie. Stał Komiat na niwie, uderzył w swój róg donośnie trzy razy, a nie wyszło i chwili — zebrało się około niego do trzydziestu mężów i starszych i młodzi przywołanych tem hasłem.

W krótkich słowach opowiedział zebrany Komiat to wszystko co przytrafiło się w przeciągu dni kilku — wydali okrzyk dziki słuchacze gotowi mścić się krzywdy Książęcia, do ostatniej kropli krwi swojej nie szczędząc.

Wnet rozporządził swoje siły Olelko wysyłając najprzód kilku do świątyni Ziwy, aby tam czekali w zasadzkach na przypadek zbliżenia się Luta z towarzyszami, iżby ich pochwycić zamknawszy wewnątrz pieczary kiedy tam wnikną. Kilkunastu znowu wysłał do głównego koczowiska, aby około mieszkania Luta czekali — i znowu w przypadku, gdyby chciał uchościć, pochwycili. Z resztą zaś siły umyślił wyprawić się po zwłoki Lidy, po Aldonę i Mlecza. Co zaś dalej czynił, to w następnych dowiemy się

rozdziałach. Tu jeszcze powiedzieć wypada mi o Aldonie, młodej córce Luta.

Przelękniona dziewczica śmiercią braci, ściśniona bolesnym żalem, lękając się obcego co wtargnął do pieczary — a i to pewna że on nie kto pozabijał braci — nie mogła do razu zebrać przytomności. Zobaczywszy za sobą Mleczka, chociaż znała go dobrze, nie rozpoznała w ciemności pobladłego, w odzieży rozrzuconej bez ładu. Uciekła przed nim w krzewinę, z krzewiny biegła w las głęboki, długi czas sama niewiedząc co robi. Najmniejszy szmer posłyszany za sobą nową nabawiał ją bojaźni, dzikie zwierzęta stanęły znowu na myśli — a młoda dziewczica, tyłą straszycel snujących się po myśli ścigana, wpadła jakby w obłąkanie. Biegła ciągle, czy trafem, wiedziona czy też tajemną kierując się wolą — dobiegła aż na niwę niedaleką od chaty swojogorodzica. Noc była jeszcze ciemna; ona na siłach wycieńczona padła na ziemię omdlała. Czy ją przedźej ranek obudzi — i Lut dowie się o więźniów swoich ucieczce? — czy Romiat wprzódty pochwyci zbrodniarza — i sprawiedliwa zemsta tryumf odniesie? — nie wiem jeszcze. —
Powróćmy do Aldony i Mleczka.

3.

Po odejściu Olelka, Aldona przepętłona uczuciami sprzecznymi — i radością z odzyskania przyjaźni tego za którym lat tyle tęskniła — i żalem za tą Lidą, co tylko ona jedna pojmowała boleść jej serca — puściwszy łzom bieg wolny, znalazła chwilową ulgę — i nieco spokoju. Długo wpatrywała się w zwłoki Lidy i mówiła w duszy:

— „Dobra Lido, ty cierpiełaś jak i ja łąg wiele; tyś już skończyła, dla mnie Bogi wiedzą jak długo jeszcze żyć przyjdzie! Tyś swobodna od zgrzytot — i ja czuję jakąkolwiek ulgę — najswobodniej przecież byłoby — tam, z tobą w nie-

bie! bo dla mnie już tu szczęścia między ludźmi brakło!”

Dumanie Aldony przerwał Mleczek przybywający z łowów z bogatym łupem. Zasepiony młodzieniec, usiadłszy w kącie świątyni, długo nie wyrzekł i słowa, Aldona dumiała także, aż pierwszy Mleczek przerwał milczenie:

— Dobra matko, ja nie pojmuję co znaczy to wszystko czego dowiedziałem się dzisiaj. Lida, matka książećcia, ukrywała się przed światem lat tyle — Komiat nad Jadźwingami panował — pod Olelka imieniem. Słyszałem już nieraz, że nienawiść ludu obudzona przez Luta przymusiła go do stronienia od braci, chronienia się przed tymi, którym rozkazywał dawniej. Jakimże sposobem niepoznany od ludu, pod obcym nieznanym imieniem, potrafił sobie zjednać Jadźwingów przychyłność i szacunek, że go wodzem obrałi? — Dlaczego stanąwszy już u szczytu władzy, gdy mógł pomścić się swojej na Lucie krzywdy i opowiedzieć Jadźwingom jako jest Komiatem dawnym ich wodzem — nie uczynił tego? — A zresztą i to mi dziwne, że Komiat starał się o osiągnięcie wydartej mu buławy... ja pogardziłbym i władzą i tym ludem coby okazał mi niewdzięczność.

— Mało znasz jeszcze przygody Komiaty —

nieznając jego przeszłości, nie poznałeś ani serca ani duszy jego. **Z** woli samego **Komiata**, ani my, ani żaden z przyjaciół nie wyjawiał ci nic o jego losie — nie mogłeś nawet o tem wiedzieć że twój rodzic żyje jeszcze; ale dzisiaj, kiedy przypadek obezna cię z tem wszystkim, możesz usłyszeć i więcej: opowiem ci więc wszystko.

— Przedewszystkiem wyjaśnijcie mi, matko, jaki miał powód rodzic mój do ukrywania tajemnic swoich nawet przed własnymi dziećmi?

— Bądź cierpliwym, **Mleczku**, dowiesz się o wielu czynach **Komiata** — o jego przygodach, a z tego wszystkiego osądzisz dopiero czy słuszne miał powody — czy dobrze czynił ukrywając swoje przed ziomkami imię? — Może przyjdzie ten czas — tak! przyjdzie, a może już przyszedł — kiedy **Jadźwingowie** dowiedzą się kim jest **Olelko**, i czołem uderzą przed wodzem dzielnym, przed krwią **Peruginów**, błagając za przestępstwa swoje litości i przebaczenia.

Mleczko słuchał ciekawie, a **Aldona** zebrawszy rozpierzchnione myśli, po chwili tak opowiadać zaczęła:

— Już nie żyje **Lida**, skończyła zawód nieszczęśliwy — ona najpierwsza cierpieć zaczęła, jej też najpierw opowiem ci przygody. — Nie wiem kto opowiedział tobie tyle co wiesz o **Li-**

dzie, nie badam cię o to. Wiesz że była matką twojego rodzica, a żoną sławnego Komiat księcia, co był podobno najświetniejszym w rodzie Peruginów. Zginął on w boju z Lachami których gromił długie lata. Od jego śmierci Lida nie znała już wesela, i oddaliwszy się od książęcego dworu, od uciech zgiełku, w samotnym dworcu, gdzie pierwszych szczęścia chwil kosztowała z Komiatem po zamęzcju: tam umyśliła spędzić lat ostatek, sprawiając bogom ofiary i ceniom małżonka swojego. Lida była nabożną — ona świątobliwa od dzieciństwa, w świętościach szukała po utrapieniach pociechy. Pokazywał ci wczora Komiat ów dąb stary umierający, pod którym niegdyś pieściła go matka; pokazywał ci jak mogiłę sterczące jeszcze zrębu znaki po tym dworcu gdzie kołysała go dobra Lida — w temto miejscu po śmierci męża umyśliła i resztę żywota przepędzić. Lida kochała mnie od dzieciństwa, jakem wzrosła tylko powiadała mi to zawsze że mnie wybiera za żonę synowi swojemu wodzowi Jadźwingów. Wzrastałam w chacie moich ojców, niedaleko dworcu Lidy — aż powoli przyszły mi lata niewieście — Lida pokazała mnie synowi — Komiat był młodym, pięknym i żywym — słyszałam od ludzi o jego dzielności — widziałam jego wdzięczną u-

rodę, toć i wszystko czego potrzeba było aby go pokochać. I pokochałam też Komiata, miłował i on mnie czule — byliśmy bardzo szczęśliwi, ja nad to nie znałam innego szczęścia. Nadeszły święta dożynek i nasze odprawiły się gody — po tych godach rok cały jeszcze byłam szczęśliwą, aże pierwszy cios wygotowany już czyhał na mnie biedną. Po ostatniej starego Komiata klęsce i śmierci — Jadźwingowie mocno osłabieni na siłach i przymuszeni nawet ustąpić Lachom ziemi swojej wiele — czuli odtąd że nie wskurają nic już przemocą, ale użyć przemysłu powinni. Takż nastawać zaczęli na młodego wodza Komiata, aby udał się pomiędzy Lachów z wyborem młodzi odważnej — a tam, napatrzywszy się zwyczaju ich i sposobów wojowania — tak wyuczywszy swoich — aby mógł kiedyś opierać się Lachom skuteczniej niż przez samo męztwo. — Ociągał się długo Komiata — bo teżto były chwile najśłodsze dla nas obojga; nieraz ulegał już nastającej nań silnie słowami starszyźcie, i zatrzymywałam go pieszczotami mojemu — zwyciężałam długo Komiata, aż zagrożony oburzaniem się coraz większem ludu, podżeganego przez starszyżnę, a podobno że i przez Luta, który już naówczas mając znaczenie i sławę, podobno że myślał o

osiągnięciu dostojęństwa i władzy książęcej — musiał mnie opuścić! choć płaczącą rzewnie. Oh! ja płakałam, mnie bardzo bolało serce, bo już przeczuwałam wtedy... szeptało mi coś na ucho że powróciwszy z owęj wyprawy, Komiat już mnie tak bardzo jak dawniej kochać nie będzie. Wyrwał się z moich objęć i z drużyną wyruszył w podróż. I jem było żalosno, bardzo żalosno w sercu! oglądał się za mną razy kilka nim wjechał za góry za lasy — a ja wyglądałam długo za nim także, płakałam rzewnie — już gonie było widać, mnie zdało się jeszcze, że patrząc w tę stronę nieba, dojrzę na błękiecie cień jego chociaż jeszcze. Zaszło słońce, jam jeszcze patrzała za nim, a w sercu tak bolało... jak do owęj pory nigdy jeszcze, nawet po stracie i matki i rodzica. — Przyszły rozweselić moje dziewoje tańcami i śpiewami — płaśały do koła mnie obsypując mnie w kwiaty, nie przerywałam tej zabawy — bo to dla nich była uciecha — ale mnie już nie rozweselić nie mogło, aż dopiero powrót Komiatu. Mijały dni, tygodnie, minęła wiosna i lato, aż tu znowu szemranie pomiędzy ludem, znowu ku Komiatowi drogiemu niechęć — bo Komiat jak zajechał na dwór jednego Wojewody, tak i przetrawił tam całą wiosnę — aż do lata połowy, i jeszcze nie udawał się dalej. Nie sądziłam o

nie złego małżonka, nie przeczuwałam żadnego nieszczęścia, trwożyły mnie tylko szemrania ludu i wzrastająca co chwila nienawiść. Nieraz zachodziłam pomiędzy gwarzących o nim starców, i gniew ich łagodziłam to prozbami, to uniewinniając w różne sposoby na jakie mnie stało Komiata. Nie pojmowałam dlaczego, ale nieraz wtedy szepnął mi kto na ucho: „nie broń go — bo on niegodzien twojej miłości ani przyjaźni!” — albo też spotkałam na twarzach otaczających mnie wyraz litości, która wybitniej jeszcze malowała się w obróconych na mnie spojrzaniach dokoła. Wzniecało to wszystko coraz większą we mnie trwogę — coraz większą obawę. Mijały tak reszty dni lata, mijała jesień już cała, a ja płakałam często, bo mi żal było, było tęskno za Komiatem, a jeszcze boleśniej słuchać tajemnicze ludzi podszepty. Nie rozumiałam tego wszystkiego co działo się dokoła mnie, ale słysząc wygadujących przeciwko Komiatowi, gardziłam tymi wszystkimi, i chociaż widziałam snujące się około mnie matrony które radeby były powiedzieć mi coś o mężu w sekrecie, nie wiem jaka w tem była duma moja, ale odprawiałam tych wszystkich zdala od siebie nienadstawiawszy im ucha. Porozumiały otaczające niewiasty te moje gniewne spojrzenia,

i one też uniesione gniewem na mój upór okazywały się obojętnemi nadal dla mnie — i mnie znośniejszą była ta obojętność jak one szeptu dziwaczne, któremi starały się obudzić we mnie ku Komiatowi niechęć. Bo też kochałam ja wtedy z całej siły Komiat — i nie przeczuwałam nic jeszcze wtedy.

Aż też z końcem jesieni nadeszła przez posły wiadomość że Komiat niezadługo powróci. Była to dla mnie niewypowiedzianem szczęściem ta wiadomość upragniona. Komiat nie przysłał mi pozdrowienia; napomykały mi znowu matrony tę uwagę — ale ja pogardziłam ich podszeptami, jak dawniej odprawiwszy je połażaniem. Ja wyglądałam niecierpliwie Komiat, ja go kochałam, znałam jego miłość, ach i on pewno tak samo spieszył się do mnie, i zapomniał przez posły pozdrowić swoją Aldonę, do której jego wybiegało serce niecierpliwie. Ja tak myślałam, aż nadszedł ów dzień pożądany w którym zobaczyć miałam najdroższego męża — i uścisnąć go czule.

Radował się i lud wszystkich z powrotu pana. Od samego ranka snuło się mnóstwo i starszych i młodzi około dworu książęcego, a wszyscy weseli — jak ja szczęśliwi. — Czekaliśmy niedługo, słońce na połowę nieba nie wzbilo

się jeszcze, kiedy radosne zdala okrzyki i dźwięk rogów zapowiedziały zbliżanie się Komiat. Już śniegi ubieliły wtedy uiwy, o! pamiętam dobrze te chwile! I ja wybiegłam na spotkanie drogiego małżonka, spostrzegłam go zdaleka: przybrany był w szaty Lachów obyczajem, bogato od srebra i złota, ale był smutny, zasepiony. Gdy stanął i zstąpił z konia, ja biegłam go uścisnąć — ale jego spojrzenie na mnie nie było tak czułem jak dawniej — o! co ja wyczytałam w tem spojrzeniu, tego nikt nie wypowie; ja wyczytałam z niego całą przyszłość moją, wszystkie nieszczęścia i troski. — Nie uścisnął mnie jak dawniej, nie przemówił i słowa do mnie — ja zdrętwiałam patrząc na to wszystko, a jednak go kochałam, i moja miłość natchnęła mnie bojaźnią ku niemu — ja zdala od niego zawsze milczałam gdy był razem ze mną, a bez niego płakałam rzewnie bo w sercu bardzo było boleśnie... Ja nie wiem czy Komiat lękał się mnie także, bo z początku okazywał chęć zbliżenia się do mnie, ale powoli stronił i coraz był zimniejszem. Nie pamiętam jak to trwało długo — bo w radości wieki szybko płyną, ale w smutku to każda chwila staje się wiekiem dla nieszczęśliwych; tak było i ze mną, i powiedzieć nie mogę jak długo tak obojętnym dla mnie był Komiat. Gdy od-

wiedziłam raz Lidę — ona wiedziała o wszystkim w swoim ustroniu, płakała nademną, i radziła żeby wszelkich używać sposobów na odzyskanie serca Komiатовego; ja słuchałam Lidy i pieśzcotami chciałam ulagodzić i rozpędzić coraz czarniejszy na czole Komiata smutek. — Moje pieśczoty były wymuszone, nieszczerze tylko jak dawniej, i może dlatego nie trafiły jak dawniej do jego serca; z jakąś odpychał mnie odrazą, uczułam wtedy odzywając się w duszy dumę — ale miłość silniejszą była nad dumę — i miłość w miejsce giewu dumy, wlała w serce boleść powolną. Nawiedzałam częściej dobrą Lidę i cieszyła mnie Lida — płakała i ona na Komiata i wyrzekała na syna, ale nie powiadała mi nigdy dlaczego. Cieszyła mnie tylko nadzieją że wszystko złe przeminie. Mówiła o mnie raz jemu — widać pogniewał się tym bardziej — ciągle był coraz smutniejszy, a kiedy z starszyny złożona rada napominała go że młodź beczynnie gnuśnieje, tak jako i Komiat wódz drzemie — ocucił się wtedy z owego snu niby, i zbierać począł drużynę zbrojną, by ciągnąć na wojny z Lachami. Odżyła widać w nim chęć bojów i żądza sławy uspioła, bo on za życia ojca, choć młodzieniec, już był sławnym i groźnym dla Lachów i Rusi. W ostatniej na

wet bitwie kiedy zginął rodzic jego, bił Lachów on najdzielniej — wszyscy pamiętali jego czyny — śpiewały o nim pieśni dziewoje — tak i kiedy obudził się teraz i młodzież zbierał na wojnę cieszyli się wszyscy — i już po siołach biegały gwarne okrzyki — co pewno echami przebiegając z lasów w lasy zanosił Lachom klęsk przepowiednią.

Od owego czasu rok minął, a Komiat ciągle na czele wojowników toczył z Lachami boje, bogate przywoził łupy — a sława jego coraz głośniejsza zabiegła aż do Litwy, prosili go w gościnę litewskie Książęta nawiedzał i on ich dwory — był ciągle wesół i czynny, nawet i mnie począł więcej okazywać serca, i jam do szczęścia nawykać znownu poczęła, ale już były to ostatnie jego odbłyски — czego niespodziewałam się nigdy.

Komiat powrócił z jakiejś wyprawy przydłuższej i znownu wpadł w zamyślenie dawne, w dawne niepokoje — ustały z Lachami bitwy, tylko co dni kilka Komiat wyprawiał się gdzieś tajemnie — a ile razy powrócił, ja byłam tym nie-szczęśliwsza bo dawna jego ku mnie obojętność wzrastała — a kiedy używać poczęłam dawnych sposobów narajonych przez Lidę, aby go mojem przycięć pieśczołami, odepchnął mnie ze

wzgardąi odprawił ze swojego dworca, przeznaczając mi za mieszkanie daleki odsiebie ziemikątek. Ja nie poszłam tam do wygod w które otoczoną byłabym była, ale udałam się do Lidy, bo w takiej huleści z nią najweselój było — od niej tylko jaka taka do serca wpłynęła pociecha. I Lida utyskiwała coraz więcej na syna, bo za to że napominała go często, zapominać o niej począł a nakoniec zupełnie ją opuścił. Długo nie widziałam odtąd Romiata, szeptali coś o nim Lidzie tajemnie przedemną i dowiedziałam się nakoniec... W półroku po tem jak oddalił mnie od siebie, urodziłam Romiatowi syna, którego on nie miał nigdy uściskać, popieścić — bo już wtedy inną miał małżonkę!... Była to owa Laszka Bożena — za którą wzdy tęsknił. — Na dworze to jej ojca przesiadywał tak długo, rozmilowawszy się w niej szalenie. Wiedzieli Jadzwingowie wszyscy prawie o tem, a te szepty któremi gardziłam, były o niej i o Romiata niewiarze. — Zli ludzie powiadali i to, że Romiat wtedy wahał się nawet czyby zostać pomiędzy Lachami wzgardziwszy powierzonym mu w rządy ludem. — Dowiódł on przecież fałszywości tej pogłoski całem swoim życiem, dotychczas poświęcając się jedynie podźwignięciu narodu. — To prawda że tak rozmilował się w Laszce iż

bez niej żyć nie mógł. Goszcząc na dworze jej rodzica z licznym swoim orszakami, udawał z dalekich stron rycerza, i w owym czasie podobno że zyskał sobie przychylność Wojewody i serce owej Bożeny — ale zagrożony od starszyny aby powracał spieszenie, bo obierze sobie pragnąca bojów młodź innego wodza — opuścił dwór Lacha, rozmyślając nad sposobami jakimi-by dostał Laszki za żonę. Gdy widział próżnemi wszystkie sposoby chciał wojując zaglądnąć w sercu jej pamięć, ale i to mu niepodobnem było, a gdy chuci swej poskramiać nie mógł dłużej, postanowił napaść na zamek Wojewody i uprowadzić mu córę. Wtedy to pogardliwie odepchnął mnie od siebie i niezadługo krasną Laszkę przywiózł do swego dworca, chcąc, ażeby go tak jako ja obsypywała pieścizkami. — Nie doświadczył przecież nigdy najmniejszego jej uścisku — chyba wtedy, gdy prosiła go, aby ją odpuścił do ojców za którymi tęskniła wiecznie. Niedługo odwlekały bogi zemstę jaka upaść miała na przeniwiercy głowę. Połączywszy się z Litwą Romiat, zbytecznie w swoje ufny siły, wtargnął do dziedzin Lackich głęboko, mnóstwo zabierając luda i bogactw. Lacky oburzeni jego śmiałością, zebrali hufy liczne, a te, lubo jak powiadają mniejsze były od na-

szych liczbą, ale Lach każdy na koniu i w żelazną przybrany szatę; otóż pomścili się swoich krzywdy, a najwięcej mścił się rodzic porwanej przez Komiata Laszki Bożeny — i onto ród nasz do szczętu chciał wytępić. Nie wymordował wszystkich, ale taką ludowi zadał klęskę, że już pono nie podniesie głowy. A Komiata odtąd zaczął szereg dni nieszczęśliwych, tak jak przeklinał go za krzywdy moje mój rodzic umierający. Postradał swoje państwo, Lut mu je wydarł; wydarł, chociaż nie ziemie, ale miłość ostatniej ludu garstki, która po upadku tak okropnym dla jego dumy, byłaby jaką taką upokorzącą nędzą osłodą. Wiadomo ci Mleczku jako Lut był upadku Komiata przyczyną. — była to niebios kara — nieba użyły do tego upokorzenia zbrodniczego serca Luta. Upaść musiał pod brzemieniem tyłu przeciwności dumny Komiata. Zewsząd dochodziły będącego przed zemstą ludu w ukryciu posłuchy, że wieszczowie i kapłani uznają w klęsce ostatniej moc bogów, jedynie karzących za błędy Komiata. Uznał on to w sercu, a jak stał się przyczyną upadku, tak postanowił podnieść zgnębionych. Nie mógł pokazać się między ludem długo bo chociaż lica, jego oszpecone bliznami z ostatniej bitwy, czyniły go do poznania niepo-

dobnym, głos przecież ten sam, postawa, powaga, zdradziłyby go jednej chwili, a naród był rozjątrzoną i pragnął krwi Komiat. — Poszedł on między Lachów, — tułał się przez sześć lat pomiędzy nimi, tam wyuczył się obyczaju ich i grania na lirze, z którą do dziś dnia, wraz z przybranem imieniem Olelka, zachodzi pomiędzy ich wodzów, przygrywa im, śpiewa stare rapsody, a tymczasem wszczepia w Zdzisława miłość ku rodakom — nawraca tych Jadźwiogów, co wyparłszy się swoich bogów, zmięszali się z Lachami.

— A jakimże sposobem dostąpił Komiat utraconej władzy pod nieznanem czynami Olelka imieniem? zapytał Mleczek przerywając opowiadanie Aldony.

— Zostało się jeszcze wielu Jadźwiogów przychylnych Komiatowi, a między tymi kapłan jeden, mający pomiędzy ludem miłość i poszanowanie. Ci dokładali sił wszystkich, aby wesprzeć upadłego wodza a potępić Luta; jakoż udało im się tyle, że wynieśli nieznanego Olelka na godność księżęcą. Sam Lut zajrzący mu tego, nie poznał w nim Komiat, i długo, porzucawszy dawną chęć uzyskania godności księżęcą, siedział spokojnie. Od niedawnego czasu dopiero dawna w nim obudziła się żądza, nikt

nie wie ktoby ją w nim podsycił, widziałeś tylko jak wytropił wszystkich nas prawie, samego nawet pochwyił Luta. Co dalej stanie się zobaczysz jeszcze. — Co zaś o Lidzie, nie dopowiedziałam ci jeszcze, nie powiedziałam i o sobie — to było pasmem jednego smutku, jednej boleści. Żona i matka dwóch wodzów, po stracie męża dzielnego wojownika, doświadczywszy niewdzięczności syna, doczekawszy upadku Jadźwingów, już podobno nigdy nie mogła być szczęśliwą. Na dopełnienie miary okropności, ujrzała jeszcze odepchniętego syna od władzy, obarczonego przekleństwami ludu. — To wszystko oburzyło jej dumę, zrodziło jakąś dla świata pogardę — I, dla mnie nie zostawało już żadnej w tym świecie ponęty, otoż stałam się jej nieodłączoną towarzyszką. Obie płakiwałyśmy i pocieszały się razem. Ukrywszy się zdala od świata, zdala od Jadźwingów, żyłyśmy samotne, pracując na kęs chleba własnymi rękami. Znalazł nas Romiat, przebaczyła nieszczęśliwemu Lida; u nas to zbierali się i radzili zawsze przyjaciele Romiata — aż dopiero gdy wstąpił na powrót pomiędzy lud i władać począł, zaczęło się nasze samotne życie. Zabili Lachy moje małeńkie pacholę, tyś mi je zastąpił, do ośmiu lat cię chowałam. Rzadko zaglądał odtąd do nas Romiat

jak odebrał ciebie, a my obiedwie jak i wszyscy przyjaciele Komiata mieliśmy względem *Olelka* chować tajemnicę. Chciał tego Komiata, bo nie chciał aby dowiedzieli się Jadźwingowie pierw kim był, niżby zasłużywszy się im, na nowo pokazał jak byli nikczemnymi względem niego — a nie chciał także zwracać na siebie uwagi i podstępów Luta — którym gardził i nie żądał nań zemsty. A zresztą Lut miał wielu w narodzie stronników — tak i dziś pono trudno nam będzie poszukać u ludu sprawiedliwości na niego. — *Olelko* dotąd niepoznany podziwiał lud, który za czasów błędzącej młodości zgubił — mógłże Komiata pogardzić ludem *Jadźwingów* — nie, to nie zgadza się z duszą jego wielkością, on żyje i dumę wrodzoną poświęcił ludowi. — Nikt go po ostatniej bitwie nie poznałby nigdy — bo lica blizunami zakryte zmieniły się o wiele. — *Aldony* tylko serce zawszeby go przeczuło.

Skończyła opowiadanie *Aldona*. nie pytał o nic już *Mleczo*, tylko w milczeniu podziwiał rodzica — żalił się nad nim i wielbił go zarazem.

Przeszedł dzień cały, noc, i poranek drugi zaświtał, nikt nie przerwał spokoju *Aldony* i *Mlecza*. Śnieg pobielił pola, pokrył jakby

siwizną obnażone z liścia dębów korony, modrzewie i sosny olbrzymie; dzikie lasów mieszkańce tuliły się stadami po kniejach. Natura przedstawiła pierwszy skon jesieni — tak smutny, tak posępny jak myśli nieszczęśliwych. Aldona przedstawiała niby smętną jesień chylącą się już ku zimie — a Lida, Lida umarła — to martwa bez vegetacyi natura — przebrzmiały życia jej pieśni — powiędły kwiaty szczęścia — ona sama trupem, i tylko zostawiła rodzinie wspominek po sobie — zostawiła potomstwo — syn już kończy swój zawód — a wnuki, prawnuki — jakichże zakosztują w świecie rokoszy?

Mleczek dumiał posępnie; obraz nieszczęść rodzica stawiony mu przez Aldonę na oczy, nasunął mu smutnych do serca myśli. Już dzień kończył się drugi, opowiadania wyczerpały się Aldony, cześć jakaś nudna, a sercu bólnie, wspomni sobie Diwanę; bez tej Diwany tak smutno, tak tęskno — gdyby ją choć raz zobaczyć, chociaż raz uścisnąć — jakże szczęśliwy Zdzisław a on nie wie co go czeka! Mleczek mało zna Zdzisława. raz go tylko widział w życiu — nie znał nikogo ze swojej rodziny, zobaczył brata i pokochał z duszy, bo mu tak było rozkosznie, swobodnie, lubo, uczuć w objęciach krew jedną, duszę bratnią. — Teraz poznał ojca — poznał Komia-

ta, ten mu jeszcze bliższy, tego bardziej pragnęło znać serce, chociaż znało go dawno niewiedząc o tem. Czyli to przywiązanie Mleczka rozdziwiło się i na dwie złało osoby — czyli też z zdrość tajemna wpijając się w serce odejmuje miłości i przyjaźni Zdzisławowi bratu — dość że wspomnienie jego coraz więcej powszedniejsze duszy... mniejsze pragnienie, umniejsza za nim tęsknota. — Nadzieje co daleko, daleko za trudów brzemieniem, za tysiącem przeszkód upatrywały wielkość, rosłość i szczęście — a upatrywały je w odzyskanym ojcu, bracie i wzmocnionej Jadźwingów potędze — dziś kiedy one ujrzwały cel pożądany spełniony po części — kiedy Mleczek uściskał rodzica, już mu tam dalej w życiu niktak nie błyszczy nęcąco — już w sercu ognia nie tyle — było rado na pierwszą wiadomość — ale wesół radość nie gości długo w sercu, a po niej zwykle nastaje czczość nudząca coraz to bardziej, czczość co powoli nudna i nudniejsza coraz i nowych szukać musi pobudek... Tak Mleczek już zapuścił marzenia w tę stronę żywota, gdzie młodzieńcza dzielność nie roi cudów, ale rzeczywistość naga odsłania się oczom zimnego rozsądku bez barw tęczyowych, bez świecideł wabiących. Ach, jakże to smutne to przejście z naiwnej roskoszy, z owych zabaw

myśli pośród niebios kwiecistych, strojnych akordami, ponętych miłością — przejście z tych niebios do żywota męzkiego, gdzie choćby poeta dusza widzi na jawie pasma cierpień, i patrzeć na nie musi z poświęceniem. Wtedy życie tak staje się nudnem dla myśli, że gdyby nie jędrność ciała i krew coraz ognistsza — zginąłby młody. Ale namiętności krwią obudzone szukają nowych roskoszy w tem życiu — roskoszy jużto nie owych rojonych po niebiosach — ale roskoszy ziemskich. — Jedni wtedy ulatują duchem, i wzgardziwszy słabe ciało otwierają sobie pole wzniosłym tylko umysłem przystępne, drudzy pozwoliwszy ciału większej swobody, wyniosą je nad ducha i puszcza wodze rozpasanym chuciom. Co dalej — to zadaleko, aby rozważać owe następstwa.

Mleczek był Jadźwingą dziecięciem i wychowawcem natury — jemu potrzeba było teraz dla pragnącej duszy albo wojny — krwi i łupów — albo miłości — i tu i tu nie było dla niego nadziei. Wojny nie podniosą Jadźwingowie bo na siłach za słabi — kochać Mleczek nie może, bo kochał tylko Diwanę a ona nie dla niego. — A więc już nie masz dla młodzieńca nadziei — smętna tylko zaduma, bo serce mocno czuje — a długo potrwa ten smutek? o to napró-

żno pyta sam siebie. Szczęśliwsza już Aldona, bo wzwyczała się do tęsknoty oddawna, i dla niej już też nie tak przykrą boleść.

Wieczór nadchodził, kiedy zdala Mleczek posłyszał gwar przytłumiony i szelest na borze. Pochwyił oszczep i stanął przy wnijściu do świątyni, tak, że widzieć mógł dookoła wszystko, i schronić się w potrzebie szybko. Gwar zbliżał się coraz — Aldona trwożna przycisnęła się do ściany i przygasiła ogień, aby dym nie zdradził ich kryjówki i nie wydał nieprzyjaciółom. Ale niedługo potrwała ta obawa, ukazał się bowiem Komiat na czele dwudziestu Jadźwinów; szedł on ze zwieszoną głową, zasmucony, zadumany — nie mieszał się do rozmów toczonych około niego i ozwał się dopiero gdy stanął nad zwłokami Lidy.

Ciało Lidy spoczywało obok posągu bożyszcza, nakryte białym rańtuchem; obok niego łączyła Aldona i stał na oszczepie oparty Mleczek. Tak zastali ich przybyłce i stanęli kołem przed owym obrazem. Znali wszyscy Lidę, znali jej przeszłość, dawne znaczenie u ludu i cnoty uwielbienia godne — każdy z obecnych spoglądał tylko na Komiatą i jakiś goń w zasępiął mu czoło. Jakby jedna chmura, niby całun żalobny, okryła wszystkie umysły — ale nie był to

żał sam jeden, była to żądza pomsty, gniew nie-pohamowany, a na celu tych uczuć stał Lut nie-nawistny.

Słów kilka bez związku zabrząkło, łaża tu i owdzie zwilżyła kamienie — i niedługo, złożone na noszach Lidy zwłoki, ponieśli Jadźwingowie ku koczowisku.

Noc była jeszcze kiedy stanęli już blisko, wstrzymali się do rana a ranek nastał pogodny, niebo było czyste jaskrawe. Gdy dzień zabiegał, podniósł się ze spoczynku chwilowego Komiat i mówił do towarzyszków:

— Czarne były Luta zbrodnie, przy dniu wyświecą się łatwiej — jeszcze poczciwość tli w sercach Jadźwingów — to i sprawiedliwość stanie się pokrzywdzonym! Pójdźmy i stawmy przed ludem ofiarę chciwości Luta, łup jego okrucieństwa!

— Pójdziemy — Perun z nami — Bóg Jadźwingów wielki! krzyknęli wszyscy prawie, i posępniejsi na sercu ale z rozognionym umysłem wstąpili wszyscy na niwę. Udał się przodem Komiat z kilkunastoma młodzieńców — stanąwszy przed owym dworcem co wodza był mieszkaniem — uderzyli chórem w rogi rogi co hasło niegdyś do boju roznosiły od Komiatów do ludu — a dzisiaj niem mniemany Olelko zbie-

rał starszyznę na radę i młodź po rozkazy. Zabrzmiały dziś te rogi przeciągłemi dźwiękami i niezadługo do tysiąca zebrało się mężów na niwę; byli wodzowie znakomici, byli starce sędziwi, była i młodzież kwiat życia. Zabrali miejsca wszyscy według zwyczaju kołem na niwie — a gdy byli już wszyscy prawie, Komiata dotychczas milczący, co stał w pośrodku i wszystkich ciekawość na swój zwracał smutek — dał znak swoim — stawiono w pośrodku na noszach ciało Lidy.

Ale wróćmy się na chwilę do Luta i do Skirmunta nim dalsze w koczowisku ujrzymy wypadki. Lut powziął zamiar pochwycić jeszcze Mleczka, a potem dostać w ręce bawiącego między Lachami Zdzisława, obu synów Komiata, ale jeszcze nie wyprawił się w tym celu, bo miał w ręku tych co mu najniebezpieczniejszemi byli, a strzegli ich jego synowie, na których wiarę rachować mógł najpewniej. Wstrzymał się jeszcze w koczowisku już to dzień trzeci, a ten poranek miał go ujrzyć na drodze ku świątyni Ziwy lub za Mleczkim w śladach, kiedy nagle wbiegła do chaty z przeraźliwym jękiem żona Luta wołając:

— O dziecię moje! córko nieszczęśliwa! O Lucie, cożes uczynił?

— Czego chcesz, niewiasto? co stało się? Lut zapytuje...

— Ach! pójdźcie! pójdźcie za mną, brakło mi sił już, i dalej nie mogłam przynieść jej ku chatcie! Pomóżcie mi, pomóżcie!” Wybiegła z chaty na łąkę ku lasowi, tam na zmrożonej ziemi bieli coś, niby śniegu kępa, ale wiatr co dmie z południa i stapia śniegi i lody — rozwiewa i wstrząsa jak chorągiewką tem bielmem — biegną wszyscy w to miejsce, rozciągnięta leży Aldona młoda, z pobladłym licem — chociaż wolne ciało, nie daje dziewczę życia ni znaku. Zdziwił się Lut i przestraszył, jednakże w ojcowskiem sercu pierwiej troskliwość o dziecię, nim chciwość dawna zagrała — podniósł Aldonę i niósł ku chatcie z pomocą matki i Skirmunta. Wchodzą do chaty, składają dziewicę przy ognisku, zlewają skronie jej wodą — rozgrzewają, wstrząsają, minęła czasu godzina i Aldona za ledwie pierwszym westchnieniem znak życia dała. Po westchnieniu otwierają się oczy, oddech powolny i krwi krążenie wraca, ale wszystko tak jest słabe — że niespokojny Lut za ledwie do szaleństwa nie przychodzi, chcąc od dziewczyny dowiedzieć się co pragnął najrychlej — wypadku w świątyni Ziwy. — A w tém syn Luta najmłod-

szy, wysłany do braci, wbiega zadyszany i wieść okropną przynosi.

— Ojczy, bracia pozabijani! wszedłem do świątyni; pusto i głucho nie masz więźniów!

Zadrzał na wieść tę Lut stary, spojrział do koła, uderzył się w czoło — i dzieci strata — i nadzieje zniszczone, tyle razem nieszczęść...

— Na Peruna! krzyknął, nie upadnę, chociażby pod brzemieniem stu nieszczęść podobnych... nie upadnę!

I wysłała syna aby co prędzej obiegł stronników swojego rodu, pomocników zbrodni, i zwołał ich co prędzej. Wybiega młodzian, spełnia ojca rozkazy — a Skirmunt spogląda na Luta i słowa nie rzeknie, niewiasty trzeźwią Aldonę — spojrzy na ten obraz Wajdelota i śmiech jakiś szatański przesuwa się po licu — to znowu jakoś niespokojnie i obojętnie spojrzy na Luta rozpaczającego dziko, a Lut spotyka ten uśmiech Wajdeloty i do wściekłości przywieziony krzyknął:

— Poczwaro! tobie winienem wszystkie moje nieszczęścia, dwudziestu lat niepokoje! Ty pobudzałeś mnie, nieszczęśliwy — już porzuciłem zamiary... ty przed kilkoma dniami słabą ułudziwszy mnie poszłaś, do nowych pobudziłeś zbro-

dni, w nowych nieszczęść wepchnąłeś kolejel...
Poczwaro! co znaczy ten uśmiech piekielny?

— Co znaczy mój uśmiech?... O Lucie, bo to widzieć człowieka, który cały żywot łoży na dopięcie celów olbrzymich, a przy schyłku siwizny tracącego wołą silną co wszystkie odznaczała dni życia — taki obraz słabości ludzkiej w istocie gniewu i oburzenia niegodny — ale płochego wart śmiechu!

— Jadowita żmijo! posądzasz mnie o słabość — czy nie widzisz co mnie przytłacza tej chwili — troje dzieci — dwóch synów zabitych, dogorywa córka!... I dla jakichżeto poświęcałem je zamiarów?

— Jak widzę w piersi Luta zgasła już duma rodowa, pamięć krzywdy znikła dawno.... Lut wódz zuamienity.... dzisiaj przebacza wrogom — a miasto działać tym silniej, z zemsty żądzą tym gorętszą, on swoich zwolenników, swoich przyjaciół spotwarza! Starcze słaby, oplakujże skon dzieci — a ja pójdę i za ciebie dokonam zemsty lub zginę....

— Stój! stój, potworo! nie ujdiesz z rąk moich... tysiąc razy spotykałem na twoich licach tajemnicze zamyslenia, w twojem sercu coś skrytego.... z mojemi zamiarami mieszałeś własne cele, ileż to razy sprowadzałeś mnie z pe-

wniejszego toru... odpowiesz mi, odpowiesz za wszystko!!!

— Ha, może krwi mojej zapaliło cię pragnienie... jam nie Romiat — Romiat zawsze był silny, mężny i zbrojny — jam bezbronna — o moją krew wzdry łatwiej, ty bardziej w takiej smakujesz...

— Na Peruna! zasmakowałem niejednej — ty byłeś mi do niej przewodnikiem, a to pragnienie dopełnię twoją zgubą! — Ha! giń nieszczęśliwy, giń podlegacz moją tyloletni!

To mówiąc uderzył oszczepem w piersi Skirmunta, zachwiał się i upadł Wajdelota — ale chociaż krew broczy się z rany, chociaż i ustami płynie, nie skonał jeszcze. Śmiech okropny wykrzywia mu lica — jęk dziki z piersi wypływa — a Lut strwożony stoi nad nim drżący.. oddech szybki wznosi jego piersi, usta zacięte, ale oczy nie mogą oderwać się od Wajdeloty powalonego na ziemi.

— Dzięki ci, dzięki Lucie... odbierasz mi życie już i niemile — gdyby tylko było można umrzeć pomściwszy się na wrogu! — ... Dwadzieścia lat z górą poświęciłem na to życia, a poświęciłem napróżno... to duszy mojej przykro! — O! po mnie ani wspomnienia w rodzinie, ani wieści pomiędzy rodakami - powiedzie-

li pewno ... walczył i zginął jak wielu .. a ja żyłem szukając **Komiata** rywala.... Ha! oszukiwałem cię **Lucie**, jam nigdy przyjacielem twoim nie był, ja wiecznie gardziłem pogańskim **Jadźwingów** rodem — a obcując z wami, na to życia strawiłem tyle aby pomścić się... pomścić za **Bożenę!** — **Posłuchaj** **Lucie**, czuję że mi sił staje dość jeszcze, abym wypowiedział ci wszystko... postłuchaj jak oszukiwałem ciebie, kim byłem i jakim służyłem zamiarom. Jam nie **Jadźwinga** ale **Lach** jak nas zowiecie.. jam **Polak**... byłem rycerzem, miałem sławę u ludzi, ale nie miałem bogactwa, nic... prócz poczciwego imienia po ojcach i dziadach. Gościłem na dworze **Wojewody**, pokochałem nadobną jego córę — była to **Bożena**. Nie było dla mnie żadnej nadziei.... bo **Wojewoda** wszystkie w córce jedynej pokładał nadzieje, i szukał dla niej męża **Wojewody**. Ona była jeszcze młoda, było to dziecię prawie.... ja w nadziei tylko zostałem na dworze jej ojca, rojąc sobie że gdy zasłużę się ojczyźnie, zyszcze chwałę, może dostanę jej za żonę. Wpadli **Jadźwingowie** z **Komiatem**, porwali **Bożenę**, spalili włość — **Wojewoda** rozpaczął, ja podobno tym okropniej, ale moje zamiary inne były całe — inaczej na **Jadźwingach** mścić się postanowiłem; ja przysięgłem znaleźć

Bożenę i pomścić się na tych wszystkich co ją otaczają, na tym co ją posiada. Oszukałem ciebie Lucie, bo ty mnie pierwszy ujrzałeś Lacha; jam udał się za Jadźwingę, ale nim przyswoilem się do was, nauczył zwyczajów i mowy, godzina zemsty wybiła; Wojewoda już mścił się nad wami — a ja wtedy dowiedziałem się o Bożenie i Romiacie, kiedy unosił Bożenę, uchodził w głębokie jary, a nasi za nim w ślad biegli. Pamiętasz kiedy dla twoich niby zamiarów wypuściłem na Romiata strzałę... oj! jam nie wiedział co on dźwiga!... Stało się — odtąd przysiędze mojej czyniąc zadosyć szukałem Romiata... szukałem razem z tobą... chciałem zemsty... ale... nie dla ciebie.... Coraz mi słabiej.... śmierć czuję... szkoda tylko... że nie znalazłem... Romiata!....

Powoli głos Skirmunta słabnął, konał w pierś i zamilkł, krew płynęła obficie... na oku niby to łza jeszcze, czy za rodziną, czy za cieniem kochanki — on ślubom czyniąc zadosyć nie pozostał w ojczyściej ziemi lat dwadzieścia... już bliski celu — jakże mu umierać smutno! Zginął bez wspomnienia, nikt nie przechowa powieści o poświęceniu bez granic, o poświęceniu lat tyłu... ani Wojewoda — ani rodzina; obyś przy-

najmniej znalazł w niebie cel życia całego, wszech myśli!

Lut wściekły prawie wpatrywał się w kona-
jącego oblicze — jeszczeby do krwi sięgnął —
ale posłyszał wrzawę rogów Olelka, rogi brzmia
Jadźwingów wodza. .. Co znaczy ta niespodzie-
wana pobudka, to hasło lud zbierające, lud
pośród ranka? Trwoga przebiegła po sercu
Luta.. czuje że tej chwili przydałby się do-
radzca, coby męztwa dodał w serce — ożywił
gasnącą odwagę — ale Skirmunt kona, już przy-
mykają się powieki, pierś tylko wzdyma się
gwałtownie... coraz wolniej i wolniej — ustaje —
tchnienie ostatnie — już nieżywy!

Niewiasty trwożne tulą się po kątach, Aldona
powrócona do życia nic nie pojmuje co dzieje
się do koła — Lut powlókł okiem — trwoga po
licach tyłu rozlana, nie doda pewno serca — ale
Lut uderza się w czoło, konwulsyjnie wstrząsa —
to ku drzwiom chaty zmierza, to uzbraja się je-
szcze w łuk, sajdak, oszczep nowy — aż weszło
do chaty z najmłodszym synem Luta kilkudziesięciu
Jadźwingów. Spojrzeli na Luta, to na
trupa Skirmunta, i dziwne rodzą się domniema-
nia, dziwniejsze niedowierzanie i pogarda dla
Luta nim przemówił — ale dość było jednego
słowa:

— To Lach zdrajca! uwodził mnie przez lat tyle, sprowadzał z pewnego toru, bo on tylko Jadźwingów szukał zguby i sam to wyznał przed chwilą.... Ale co znaczy to zbieranie się ludu, kto go zwoływa?

— Olelko, mój ojciec .. Olelko, przy nim Mleczko, jakaś niewiasta i trup... on czeka większego zebrania... nie wiem co zamysła... cóż wy uczynicie ojciec?..

— Uchodźmy! zawołał jeden z tłumu.

— Uchodźcie! krzyknął Lut rozgniewany: uchodźcie? o nie! nigdy Jadźwinga nie zadrzał przed śmiercią! — A tutaj nie masz jeszcze niebezpieczeństwa.... Bracia, dosyć znaczna was liczba — tam pomiędzy ludem znajdziemy stronników — pójdźmy na zebranie ludu — pójdźmy!....

Jeszcze ktoś sprzeciwić się zamierzał, ale dość było spojrzenia Luta i skinienia ręką — posłusznymi byli wszyscy, i na plac gdzie ludu zebrało się mnóstwo, powolnym udali się krokiem.

— Bracia! rozsypcie się po całym tłumie, pamiętajcie bronić i dłońią i mową, pociągać za sobą umysły — dziś albo wzniosę się nad Olelka — albo zginę!

Już przyniesiono na plac zwłoki Lidy, już miał podnieść głos Olelko mniemany, kiedy z jednej strony rozstępować się począł tłum cały i do środka koła między wodzów najstarszych wstąpił Lut.

Komiat gdy ujrzał się w pośród ludu, w dziwne
popadł otrętwienie. Całą jego przeszłość stanęła
mu na oczach, widział się niegdyś władzcą potę-
żnym, kiedy poważany od swoich, a obcym gro-
żny, rządził ludem — kiedy sąsiednie Litewskie
pany wchodzą z nim w przymierze i wspólne
łącząc siły szukają w Lachów dziedzinach zdo-
byczy — a tu znówu miłość dla Łaszki, dla Bo-
żeny — upadek okropny, wzgarda nieledwie i
niewiara ludu przymuszają go tać sławne oj-
ców imię... Nareszcie Luta podstępny — i śmierć
Lidy jego matki — tyle obrazów zmieszanych
w duszy, nie mogły jednego do razu wyrodzić

uczucia. Spojrzał po ludu, wszędy oczekiwan-
nia wyraz panuje na twarzach; dał znak zwo-
lennikom swoim i stawiono w pośrodku koła
martwe Lidy ciało. Spojrzał na zwłoki matki
Komiat, razem gniew, żal i duma budzą się w pier-
si. Walczy z myślami, czy ma wyznać téj chwi-
li kim jest w istocie, sam smutek po zgonie Lidy
zdradzi go z czasem, a jakże, zemsty nad
Lutem zażąda? — Jeżeli znowu wyzna że jest
Komiatem, Lut ma silne stronnictwo pomiędzy
ludem — on tym ludem przed laty kierował tak
silnie, że zepchnął ze szczytu potęgi, z ksią-
żęcego tronu Ród Komiatów. Czyli upadło już
to przekonanie, jakoby Komiat jedynie był Ja-
dźwingów upadku przyczyną? — wie o tém, że
stronnicy wierni wykorzeniali przez lat dwadzie-
ścia to mniemanie, ale czy wykorzenili je z ser-
ca ludu ze szczętem, to niewiadomo. Komiat
nie lęka się śmierci, dowiódł tego w bojach, świad-
czą blizny na piersi i licach — ale zginąć od wła-
snego ludu, zginąć przez intrygi wroga niezbla-
ganego Luta, tak zginąć Komiat niemoże! — Już
coś postanawiał wduszy i podniósł czoło malują-
ce strojnie, grające w sercu uczucia, kiedy mu
przed oczy stanął na prest Lut — Lut nienawistny,
tak śmiało, tak bezczelnie — ta jedna chwila zmie-
nia myśli kierunek przerabia uczucia guiew

rozpłonął, lica zapaliły się ogniem — bo Luta oblicze tak nikczemną malowało duszę.

— Jadźwingowie! zawołał Komiāt: stawam przed wami, jako wasz książe co stu pradziadów moich z Peruginów rodu odziedziczyłem buławę — Wróg mojego rodu oczernił mnie przed wami, odebrał mi waszą miłość, kłamliwym językiem zwałił na mnie ciężar waszego upadku — Jadźwingowie — powiedźcie jakim mnie widzieliście zawzdy? — niedowodziłem czynami moimi na polu bitwy jaką moja dusza? — Po upadku moim za staraniem przyjaciół dostałem się znowu na tron z którego zepchnęła mnie zawiść — tak Jadźwingowie, jam Komiāt, stawam przed wami i pytam was czy pragniecie jeszcze krwi mojej, krwi Peruginów?

W tłumie całym gdy umilkł mniemany Olelko dziwne nastąpiło zdumienie, wszyscy w patrząc się w lica Komiata, starzy rozpoznają na czole ową książeńską powagę i dumę, która cechowała ród Peruginów zawzdy — poznają barki szerokie, muskuły wybitne i głos i lica, chociaż z orane bliznami; poznaje to wszystko Luta i zdumiewa się i odwagą Komiata, i przerażeniem ludu — ale niebezpieczeństwo grożące staje mu wnet na oczach, chytróść bezczelna przy-

chodzi w pomoc — a w niebezpieczeństwa chwili, zrzuciwszy dawne kłamliwe postacie występuje śmiało — i nim gwar dokoła wszczynać się począł Lut głos podnosi, głos piorunujący.

— Tyżeś to lat dwadzieścia śmiał lud przez ciebie znękaną uwodzić?! Ty jeszcze rozkazywać pragałeś nam nieszczęśliwym przez ciebie?! — Ah Jadzwingowie! niepodobna abyśmy znosili choćby chwilę dłużej zuchwałstwo podobne, niechaj zginie Komiat sprawca naszego upadku!

Zwolennicy Luta powtórzyli dokoła to chałsło — ginęło ono jeszcze w gwarze ludu, w gwarze co wzrastał co chwila, Lut obiega dokoła tłum zebrany i zachęca do pomsty — gwar coraz głośniejszy już zaczyna przybierać groźną postać, i niebezpieczeństwo Komiatu wzrasta w miarę powstających coraz głośniejszych okrzyków. Lut z oszczepem w rękę czai się z boku i radby piersi Komiatu zgruchotał jednej chwili, ale przed Komiatem mur z trzydziestu młodzieńczych piersi i tarczy, a mieszają się okrzyki — przyjazne i wrogie dla Komiatu jako i dla Luta. Wreszcie porusza się massa, wznoszą się w górę dziryty i spisy — już bój ma wszczynać się zajadły — staje Lut na czele swojego stronnictwa, otaczają z drugiej strony przyjaciele

wierni Romiata — ale ich liczba nie wielka. Lut zachęca swoich i przysięga zgubę Romiata, i zgubę tych wszystkich co jemu sprzyjają — wystawia im klęski okropne, upadek bolesny — a wszystko sprawił Romiat nierozwagą swoją. Poklaski jego mowom, jego rzucanym potwarzom powiększają się co chwila, Lut ufny już w siły czego niedopiął podstępem, tego dosięgnąć przemocą postanawia.

— Jadźwingowie! woła: oto przed nami garstka tych wicherzycieli, nieprzyjaciół kraju swojego i rodu, co pochlebia zdrożnościom wodza, co sprowadził na ród nasz niegdyś potężny klęski najokropniejsze — niechaj on zginie — niechaj zginą wszyscy co jego pochlebiali występkom — uderzajmy!

Romiat w pośrodku swoich stoi nieporuszony, ni słowem zachęci, ni przykładem rej powiedzieć, spogląda tylko boleśnie — albo rozśmieje się dziko spotkawszy wzrok Luta. Lut nierozumie tych spojrzeń, on nie Jadźwinga, nie człowiek, ale zwierz dziki téj chwili, pragnie ocalenia swojego jak samolub bez czucia, lub upadku — a upaśby musiał jak zbrodniarz. — Już porusza się masa sprzymierzonych Luta, tysiąc oszczepów podniosło się w górę — Kiedy

9*

nagłe i niespodziewane widowisko zatrzymało bój krwawy.

Powolnym krokiem między rozstąpione na dwie strony tłumy, oparty na rękę młodszego starca wszedł biało-włosy Krywe Krywejto. Ucichły gwary, bo najwyższy kapłan miał powagę i miłość ludu nieograniczoną. Już pociski co mierzyły w pierś bratnią spuszczone do ziemi, oczy nieruchomo wlepiają się w starca oblicze a starzec pokłoniwszy się Komiatowi, stanął i przygasłym wzrokiem zmierzył Luta stojącego na czele swoich.

— Te groźne postawy, to uzbrojenie... dawno ah dawno niewidziałem Jadźwingów w podobnym stanie... powiedźcież mi czy wyprawiacie się na Lachy?

Nikt nieodpowiedział i słowa, tylko niechętnie z obu stron dały słyszeć się tłumione gwary.

— Cóż znaczy wasze milczenie?... Wodzu, książę Jadźwingów, powiedźcie mi co znaczy to wzburzenie umysłów?

— Ja mam je tłumaczyć?!... Ah ojczcie! na to odważyć się już nad moje siły!... Gdy tyle mojego ludu podniosło dziryty i w moje odmierzają je piersi, kiedy widzę garstkę tylko sobie wiernych, kiedy Lut tryumfuje świeżo popełniwszy zbrodnię.... Ja tylko mogę spokojnie pier-

si nadstawić — piersi co broniły dawniej przeciwko Lachom, rodaków moich... niechaj w nie uderzają!... tryumfuj Lucie!....

— Przez Boga! Jadźwingowie! — zawołał kapłan drżącym głosem: — czyliż jednej niedosyć niewiary, aby bogi z wysokości potępili was wszystkich!

— Precz z Krywe-Krywejną — krzyknął Lut: — ty starcze niebyłeś czem więcej jak stronnikiem Komiata, ty podźwignąłeś go pod obcem imieniem, na tron sprawiedliwie mu wydarty! Ty łudząc nas swoimi cudami, byłeś tylko oszustem — bracia moi precz z Komiatem i jego zwolennikami! — Śmierć tym wszystkim podstępny!

Gwar ludu powstał dziwaczny... mieszając w sobie równo ważące się prawie oburzenie przeciwko Lutowi, i pochlebianie śmiałości — ale zaledwo starzec dłonie podniósł do góry, umilknęli znowu wszyscy, tylko jak echo jeszcze z końca do końca zwolenników Luta przeciągły odbił się szum głuchy.

— Jadźwingowie! zapomnieliście już o bogach waszych, zapomnieliście o cieniach waszych przodków — one krążą po nad wami — a wy obojętni na zniewagę wyrządzoną najstarszemu z kapłanów — słuchacie krzywdy wyrzą-

dzonój mu tak sprośnie przez Luta? zawołał Wajdelota co podpierał kroki Krywe-Krywejty:

— Precz z Krywe-krywejtą niech zginą wszyscy co wspierają Komiata, krzyknął Lut zjadły:

— Jadźwingowie, pamiętajcie na chwałę swoich ojców, pamiętajcie na krew Peruginów co wam lat tyle przywodziła w bojach — drżącym głosem wołał Krywe-krywejto: — pamiętajcie na ojczyste bogi! Niedość-że wam klęsk doznanych od Lachów, jeszcze trzeba abyście mordowali się sami — Jadźwingowie, poco ten upór w waszych sercach? wy czujecie Komiata niewinność — a Komiata wspaniałomyślny! — Opuśćcie Luta, przebaczy wam Komiata jak przez lat dwadzieścia na szemrania wasze obojętnem poglądał okiem, pilnując jedynie waszego dobra... upamiętajcie się Jadźwingowie! przez pamięć na ojców waszych potęgę i sławę!!...

Lut niesłuchał tej przemowy, ale miotany obawą i rozpaczą obiegał swoich dokoła i dodawał im odwagi do spełnienia zbrodni. Hałas wzrasta powoli coraz głośniejszy, aż w huk zmienia się straszliwy — burzą się jak bałwany Bugu, zebrane tłumy — już niesłuchają głosu niczyjego — wierność zagrzewa Komiata przy

jaciół, Lut znowu ludzi swoich obietnicami, utwierdza w przekonaniu zbrodniczem i do uderzenia na przeciwników nakłania. Zabrzękała w obu huffach stalne oręża wyprężają się łuki — już mają krwawy bój rozpocząć — kiedy Komiat wydarłszy się swoim co obronić go lub umrzeć przysięgli — stawa w pośrodku pomiędzy zabierającymi się do walki, rzuca broń precz od siebie rozdziera szaty i do zdumionych nieprzyjaciół woła:

— Jadźwingowie — ja dla waszego żyłem tylko szczęścia łożyłem od lat dwudziestu na to wszystkie siły aby was umorzyć i wzmacniać, widzę na jaką zabrało się burzę — wy niewinni — ja was nieoskarzam przed bogami — i nie chcę krwi waszój rozlewu! — Pragniecie krwi mojej przelejecie ją wszystkę — ale nie mordujcie się wzajem — ja waszym ojcem, jam was umiłowal i waszój niechcę zguby!... Oto mnie macie nasyćcie swoją krwi chciwość w jednych tylko moich piersiach, ale nierozlewajcie krwi własnej nieosłabiajcie się więcej jeszcze!

Komiat to mówił z głębokiem uczuciem, z głębokiem poświęceniem — pokazywały to jego twarz i oczy — na ten widok poświęcenia wielkiej duszy Jadźwingowie oniemieli, sam Lut truchleje bo serce zbrodnicze do poświęceń szlachetnych

niezdolne, zdziwi się przecież ich widokiem, upokorzy we własnem obliczu.

— Ludu nieszczęśliwy! zawołał Krywe Krywejto: niepoznałeś jeszcze boskiego Peruginów rodu? któż wam ojcem i opiekunem, czy Lut co do mordów zachęca czy Komiat co dla waszego szczęścia poświęca się tak wielko-myślnie? Uderzmy czołem przed krwią bogów — ludu błagaj przebaczenia!

Jeszcze nieskończył Krywe-Krywejto — upadły miecze pod nogi Komiatu i tysiąc mężów przebaczenia błagało — pobłogosławił ich Krywe Krywejto — a Lut widząc się opuszczonym wzgardzonym, widząc tryumf niewinności, zdrzął nieznaną dotąd w takiej sile razem przejęty bojaźnią — drżały mu ręce, błąkały się myśli, siniały usta — sam niewie co pocnie... jednakże zginąć, obawia się śmierci... i na cóż zachować chce dni swoje? On nie ma celu, lęka się tylko śmierci jak zbrodniarz. Pewny że zginie już wszystką stracił odwagę, nadzieję, nawet pomścić się jeszcze nim zginie, zapomina, wypadł oręż z drżącej dłoni, niezrozumiałe szepty z silnych ust wypływają — bo wielkość czynu samego nawet rozbija zbrodniarza. O Skirmuncie czemuż niedożyłeś zdrów i cały godzin jeszcze kilka pomściłbyś się na Komia-

cie wsparł upadający umysł Luta! Nie, nie, już tobie nie zemsta! Umarłeś bez pogrzebu, Jadźwingowie ciało twoje krukom na pastwę wydadzą i nikt modlitwy nie zmówi za duszę! — Lut błąka się myślą, na oczach mu stają wszystkie podstępów jego ofiary — zgryzota serce toczy — bojaźń ścina krew w żyłach — to znowu ożywia ją nowym ogniem, Lut sam niewiedząc co robi — zbiera siły i uchodzi z placu. Ale cychają nań przyjaciele Romiatowi wierni, chwyta go jeden, wstrzymuje silną dłońią i woła:

— Stój Lucie! nieujdziesz ztąd cały, jeszcze nieodebrałeś kary — ujdzie z tąd chyba dusza twoja męczarniami wyciśniona!

— Jadźwingowie, woła Krywe-krywejto: Bogowie wieley co strzegą od chańby ród wasz dzielny ci bogowie natchnęli w serca wasze pokorę — poddaliście się prawemu wodzowi, księżciu z krwi boskiej Peruna. Niechaj was błogosławią te bogi. Ale ludu dzielny nie poto zebrał was tu Romiat, aby wam kim jest powiedział, aby waszą miłość odzyskał. Kochaliście go jako Olelka, on wam poświęcał wszystkie dni żywota, to dosyć było dla niego!... Chodźcie i patrzcie na te zwłoki, tu zbrodnia okrutna pomsty woła z niebios, pomsty woła od ludu — zga-

dnijcie czyje to ciało?— Kto przelał tę krew niewinną?

Wszystkich oczy zwróciły się na obnażone ciało Lidy, twarz rozszarpana, spalone piersi, popalone ręce — wycieńczone starością i niewygodami ciało — nieprzymknięte oczy bielmem śmiertelnem spoglądają jeszcze, niezamknięte usta wołać zdają się pomsty! Spojrzy Lut na ciało Lidy, tym cięższa boleść w duszy, tym zjadliwsza toczy serce zgryzota — bo widzi przed sobą obraz zużękanėj niewinności — śmiertelne szczątki Lidy!... — Jadźwingowie wszyscy skupiają się około tego ciała i zdumieni oczekują objaśnienia. Spojrzał Komiat dokoła po tłumie widzi politowania wyraz, odzyskał przed chwilą dawne imie, dawną godność — „O gdybyś żyła Lido jakżeby to twoje zbolełe pocieszyło serce!”

— Widzicie przed sobą ciało zgrzybiałej starszki — mówił drżącym z żalu głosem Komiat z łzą na oku: — widzicie ciało Lidy matki mojej. Któż z was cnot jej niepamięta. — Któż nie doświadczył jej łask, za owych czasów kiedy jeszcze dzieliła tron z rodzicem moim potężnym? Zniknęła Lida od lat dwudziestu, zostały tylko o niej między wami powieści, zostały pieśni — a ona ukryła przed wami, oplakując poniżenie mo-

je, poniżenie Komiatów rodu — spędziła te lat dwadzieścia we łzach, jęku i pracy, żywiąc się chleba kawałkiem co go jej własne zapracowały dłonie.

Od lat już kilku osłabiona, zgrzybiała, żywiona przez małżonkę swoją Aldonę — powoli chyliła się ku mogile — gdzie miał być kres jej cierpieniem! Nie mogła zakończyć dni nieszczęśliwych spokojnie, nie pozwolił jej nieprzyjaciel smucić się i rozmyślać swobodnie!

Ale ta zbrodnia przebrała miarę jej sprawcy, Lut, co lat tyle podstępnie szukał Komiatów krwi, nastawał na życie każdego rodziny mej członka, on znalazł Lidę, znalazł zgrzybiałą staruszkę, jeszcze krwi jej zapragnął!

Tu oburzenie ludu doszło do najwyższego stopnia, wszyscy spoglądają nienawistnie na Luta, a Lut drżący, obłąkany, utopił wzrok w swojej ofiarze i słowa nie rzeknie, tylko drzą jego sine usta. Krywe - kryweyto dłoń podniósł i gwar ucichnął znowu, a Komiat tak dalej rozwodził żale swoje przed zebrany ludem:

— Z tego czynu poznacie Jadźwingowie duszę zbrodniarską Luta.. wywłócił on najprzód Lidę aby ją zamordował a zamordował w świątyni Ziwy! Tam ją znalazłem, sam popadłszy w je-

go ręce wraz z Aldoną, z kąd mnie odwaga tylko syna Mleczka wybawiła!

— Jadźwingowie, ja nie pragnę za moje krzywdy żadnej zemsty — ale cienie Lidy, cienie matki mojej, żony Komiata najdzielniejszego z książąt naszego narodu — one wołają tej pomsty, a wołają jej od was!

Tysiące głosów wołających zabrzmiało jednogodnym chórem, wzniosły się miecze nad drżącym Lutem, ale przyjaciele Komiata dzikszymi byli nad zapal chwilowy, okropniejszej żądali zemsty i zasłonili swojemi puklerzami jego głowę, wołając: — „za wczas mu jeszcze umierać — za wczas! on będzie pogrzebową Lidy ofiarą!”

Huk z wrzawy powstały mięsza się i warzy, rozbiegają się po tłumie przyjaciele Komiata i rozprowadają ludowi ostatnie czyny Luta. Oburzenie wzrasta, co chwila groźniejszą przybierając postać — trudniej coraz ubronić głowy Luta. Lut nie broni się, drży tylko i błędem do koła powłóczy okiem — nie ma już i jednego przyjaciela — a ci co go bronią, oni zachowują tylko dla mąk okropniejszych, dla tym sroższych katuszy.

Jakże zmienny los jego w jednej chwili! zbiera Lut myślą wspomnienia: on, już tak bliski celu

wszystkich życia myśli niedawno — na czele tysięcy mężów mając położyć kres panowaniu Komiata i wszystkim jego przyjaciółom, mając pomścić się śmierci swoich synów — tej chwili poniżony, wzgardzony; — zgryzota szarpie wnętrzości — jakże mu nieznośnemi te męczarnie. — „Ach śmierci! — woła — śmierci! wydrzyjcie mi żywot przez litość!” — Nie masz dla Luta litości, ani jedno nie objawia jej serce; syn tylko ostatni zbrojną przez tłumy przedziera się ręką — ale przedziera się na to aby powiększył męczarnie ojca padając u nóg jego przeszyty. — A w chacie drżąca żona i jej siostry tulą biedną Aldonę... zagląda i tam myśl Luta skrzydłem sokolim, zajrzy do każdej mogiły gdzie ofiara okrucieństwa jego spoczywa, rozmawia się z każdym cieniem zamordowanego!

Powoli rozstępują się tłumy, starszyzna otacza Komiata i przebaczenia za dawną błaga niewiarę...

— Jam lat tyle rządził wami, lat tyle miałem sposobność pomszczenia się na was, ale ja krwi Jadźwingów nie pragnąłem nigdy. Wołałem tylko upadku jednego Luta, wołałem krwi jego, bo on zamordował moją rodzicielkę Lidę i zemsty wołała jej cienie — słyszę głos jej nad sobą: „synu zemścij się, zemścij!” Ale wam przebaczyłem

dawno, przebaczam i tym co dzisiaj jeszcze dłoń podnosili na mnie — łączcie tylko na dalej dobre z mojami chęci — bądźcie wiernymi potomkom moim!

Już to był dzień drugi, cicho było w koczowiskach Jadźwingów, w jednej tylko obszerniejszej chacie, dymią się kadzidła — palą po rogach stopy łuczywa rzucającego blask niezwykły na poczernione ściany, a na środku izby na wzniesieniu leży ciało Lidy, przystrojone w białe rańtuchy wyszywane srebrem, złotem, w bogate makaty w Lachów dziedzinach zdobyte. Lut przykuty do ściany spoczywa w rogu jednym niedaleko zwłók Lidy, przeznaczony na ofiarę krwawą dla jej cieniów jak wróg jej najdzikszymi.

Leży on bez ruchu na ziemi, starzany w pyle, bo co chwila nowa zgryzota zaorze mu w sercu, nowy jęk piersi wydadzą i ciało konwulsyjnie rzuca się i wstrząsa — gryzie starzec zbrodniarz zębami ziemię, zanurza w niej palce głęboko, chciałby samobójstwem zakończyć dni swoje nie-

szcześliwie, ale śmierć przyzywana nie przybywa mu w pomoc — ona, gdy ciało Lidy zapłonie, wtedy z piersi jęk wyrwie ostatni, a cienie rozweselą się Lidy.

Dokoła zwłok, matrony i dziewice z żałobną postawą okrążywszy umarłą, śpiewają smętne pieśni pogrzebne smętniejszym nad łązy tonem, a pieśń strojna, cicha, chorowa, gra nad śmiertelnymi szczątkami Lidy, kołysze unoszący się cień jej u góry:

„Spij Lido! spij Królówo!
Jużes swoje skończyła
Zakończyłaś cierpienia,
W łzach twe oko nie spłynie,
Serce bólem nie zadrży!

„O jak to matce ciężko
Nad kołyskami dzieci
Bezsenne trawić nocy,
Nad ranami małżonka!

„Czy się dziecię u tuli,
Czy syn mały zapłacze,
Już matczyne drży serce.
Ziwo wspomagaj!

„Przyjdą z wojny wojacy,
Powitają ich żony,
Powitają ich dzieci;
Jakże smutno tej żonie

Co swego nie zobaczy;
Bieda, smutek—
Głód dzieciom!

„Spij Lido! spij Królowo!
Oj żałują cię wszyscy,
Żałuje syn jedyny,
Płaczą po tobie wnuki!

«Lzy, jak rosa na łące,
Po źgle twojem błyskają;
Bo to łzy twoich dzieci,
Bo to łzy przyjacieli!

„Oj te dęby święcone
I kurhany płaczebne
Coś je mlekiem zlewała,
Smutne po tobie!

«Oj wy dęby! łzy młeczne
Wylawajcie nad grobem
Lidy naszej Królowej,
Lejcie łzy na jej lica,
Na jej piersi spalone,
Na jej dłonie skrwawione!

„Lido, Lido Królowo,
Gdy ulecisz do bogów
Spójrzj czasem na dzieci,
Spójrzj też na Aldonę,
I na twoich przyjaciół.

„Wiatr pogodny wiosenny
Gdy po ługach zawieje,

Kwiatów wonie rozniesie,
Słowików pieśni brzęk —
Lido, Lido, zstąp wtedy,
Pobujaj na tej fali —
Nad - bużańskich woń!

„Lido, Lido, przyjdź czasem
Do nas w dziady gościna —
Rozmówić się z swojemi,
Pokosztować mleczywa,
Albo miodu naszego
I kołaczy rumianych!

„Oj nie płaczmy, nie płaczmy!
Śpi już Lida królowa,
Zakończyła cierpienia,
Łzy z jej oczu nie płyną,
Serce bólem nie zadrży —
Spij Lido, śpij królowo!

Przed chatą stos wznoszą pod niebo — stos z jedliny i modrzewiu, smutni otaczają go przyjaciele i krewni Lidy — stoi Romiat i Mleczko, obadwa zasępieni, nic ich pocieszyć nie zdoła i nikt też z pocieszeniem ich smutkowi nie biegnie. Krywe krywejto przybrany w swoje kapłańskie szaty, bogate, wspaniałe, z kilkoma wieszczbitami i Wajdelotami oczekuje przy stosie, nim pożegnają matrony w chacie Lidy ciało. To-

warzysz kirywe krywejty, Wajdelota stary, przysunął się do Mleczka, i zcichą mówił do niego:

— Synu, co długo tało przed tobą przeznaczenie, dowiedziałeś się dzisiaj. Poznałeś twójgo rodzica, o którym nie mogliśmy powiedzieć tobie, ażby wróg jego runął — i nie wiedziałbyś o nim długo jeszcze, gdyby bogowie sami nie okazali sprawiedliwości swojej w zemście nad występkiem. Ale synu pomnij — że oprócz twójgo rodzica masz wielu braci co śpią w mogiłach. Gdy niewiedziałeś o ojcu twoim Komiacie, paliło ciebie krwi Lachów pragnienie: dziś znalazłeś Komiata ojca twójgo, to nie dosyć; przyciśnij ucha do ziemi, a na każdej stopie nieledwie jęk głuchy usłyszysz! — Pamiętajżeś Jadźwingą!

Niepotrzeba było Mleczkowi objaśnienia; domyślał się Mleczko powoli że chciano tylko obudzać w nim dzikość krwi chciwą, sama ofiara jaką złożyć musiał Perunowi przekonywała go o tém, rozumiał on i to co rozumieli przez to Komiata i kapłani, zalecając mu aby z głową Lacha powrócił cały i zdrowy — słabi Jadźwingowie siłą, powinni zatem mścić się na nieprzyjaciołach podstępem. Ale Mleczko tej dzikiej podobno nie usłucha nigdy myśli, bo im jest

dzielniejszym, im działa szlachetniej, tym bardziej czuje że jest mężem, że człowiekiem. Co zaś zagrzenie Wajdeloty — ta zachęta podobno dla Mleczka tak niepotrzebną, jakimiⁿ były tajemnicze niegdyś osłony Komiat, bo serce młodzieńca ogniste i czujące silnie, dusza dumna i wyniosła rodem swoim, nie patrzą na liczbę a wtedy Mleczkowi niepotrzeba zachęty.

Obyczajem pogańskim złożono na stos ciało Lidy, złożono ulubione jej naczynia, sprzęty, włożono i Luta żywego. Pośród okrzyków dzikich ludu, pieśni Wajdelotów i czarów guślarzy, zapalono łuczywa pod stosem i płomień w chwilę ogarnął zwłoki nieszczęśliwej Lidy i zbrodniarza. Słychać było jęki Luta okropne — mięszały się one z okrzykami wzdargy i zemsty, z płaczem żony i krewnych. Niedługo nie zostało i szczątków ludzkich: z ugaszonego tylko ognia, drobne kości i garść popiołu wydobyte, wsypano w urnę co na zgliszczach zagrzebana została w mogile. Ramień wielki przytłoczył ostatnie szczątki nieszczęśliwej Lidy, co żywot cały prawie przecierpiła w smutkach.

Po skończonym obrzędzie pogrzebowym lud rozszedł się po koczowiskach; został tylko zadumany, Komiat Aldona, Mleczko i kilku wodzów ze

starszyzny — kiedy obcy przychodnie stanęli przed dworcem ubogim księcia i prosili o posłuchanie Komiata. Przychodnie z powierzchowności podobnymi byli Jadźwingom, rysie i niedźwiedzie odziewały ich skóry, twarze ciemne blade, czarny włos i rzadki zarost na twarzach zdradzał pokrewieństwo z Jadźwingami, a u niektórych hełmy stalowe i pancerze niemieckie z krzyżem potrójnym na piersi — były to łupy na krzyżakach zdodyte. Gdy stawiono przychodniów przed Komiatem, jeden z nich najstarszy pozdrowił księcia i złożywszy od Litwskich panów przysłane dary, w te odezwał się do Komiata słowa:

— Z dawnych czasów Litwa z Jadźwingami razem wyprawiała się na Lachy i dzieliła z nimi zdobycze. Jadźwingowie dzielni podupadli przemocą Lachów naciśnieni, bratnia Litwa na siłach niezachwiana wzrasta co chwila, i co chwila groźniejsza sąsiadom. Książęta nasi dowiedzieli się że Jadźwingowie, chociaż nieliczni ale mężury do boju wystawić, hufiec jeszcze zdolni. Wyprawiając się na Lachy, kędy Jadźwingę żądza zemsty ciągnie, książęta nasi zapraszają do siebie w przymierze lud wasz bratni, połączonemi siłami chcąc karać dumne Lachy.

Składamy wam dary, Książę, i o posiłki na wojnę prosimy.

— Miłe to i przykre zarazem wspomnienie — sprzymierzać się z Litwą na wojnę. Miło nam słyszeć że Litwa o bratnim Jadźwingów nie zapomniała ludu, przykro zaś wspomnieć z przyczyny Litwy klęski nasze, ale poginęli ci co winnemi byli, a Jadźwingowie zawsze bratnie związki i dobre ceniąc chęci, nie wymawiają się od przymierza z Litwą, zwłaszcza, gdy sami na siłach osłabli i samodzielnie wypraw przedsiębrać nie mogą. Z mojej strony przyrzekam dobre chęci, nie jednakże czynić niechęć bez wiedzy starszyny. Zatrzymajcie się przeto posłowie, nim złożymy radę i postanowimy o tem, abyście stanowczą odpowiedź panom swoim zanieśli.

Zwołał Komiat starszyny niezwłocznie — a posłów zaprowadzono w gościnę do znaczniejszych wodzów Jadźwingów.

Nim jeszcze rozpoczęła się rada, rozbiegła się wieść do koła że posły Litewskie przyszli prosić Jadźwingów przeciwko Lachom pomocy. Młódź bojów chciwa radowała się z góry, i około książęcego dworca snuły się tłumy zbrojnych, wyglądających niecierpliwie skutku narady. Zem-

sta przeciwko Lachom strojąca dusze Jadźwignów od dzieciństwa, rozpłomieniała serca i dusze mołojców; gdzie spojrzeć na młode lica, tam ani tęsknoty za kochanką, ani obawy nie ujrzałbyś najmniejszej — na każdym tylko czole niecierpliwość wzrastająca do najwyższego stopnia rozlewała się wybitnie, malując serca szybkie bicie.

Zgromadzili się wodzowie, a Romiat do nich przemówił:

— Osłabieni na siłach już podobno sami nigdy działać skutecznie nie potrafimy. Młodzież wzrasta dotąd — i po lasach tylko zwodzi z dzimmi zwierzętami boje. Krzywdy, samą bezsilnością naszą zaspane, niepozwalają przecieź i na chwilę spokojnie zasnąć Jadźwince. Dziś nastrecza się pole do ćwiczenia się w bojach i hartowania dziecinnego dotąd serca. Litewskie książęta przysyłają do nas o pomoc, przysyłają dary — i dobrą chęć oświadczają. — Z mojej strony nie nie przyrzekałem stanowczo, ażbym naradził się z wami bracia, co przedsięwziąć, i jak postąpić w tej mierze?

— Niepotrzebnie radzisz się nas, panie, mówił jeden ze starszyny. Doświadczenie twoje i rozum staną ci za najlepszego doradcę. Masz

serce Jadźwingi, duszę wznioślejszą nad wszystko co można sobie roić, miłujesz lud swój, dałeś nam tego oczewiste dowody;— rządź jak rządziłeś przed dwudziestoma laty; kiedy byłeś młodzieńcem niedoświadczonym wspomagała cię rada; kiedy niepoznano cię pod imieniem Olelka, sprzeciwiali ci się niejedni choć sprawiedliwie działałeś. Dzisiaj poznaliśmy cię kim jesteś, poznaliśmy Komiata dzielnego co lat tyle sam walczył z przeciwnościami i lud zachowywał od zguby — to i nie można nam porównywać rozumów naszych i doświadczenia z twoje-
mi, niemożna sprzeciwiać się krwi Peruginów bez grzechu.

— Pochlebiacie mi, bracie miły: wiedźcie o tem, że odzyskawszy miłość Komiata u ludu, nie przestałem i nie przestanę być dla tego ludu Olelkiem. Niechęć nie działać bez waszej dora-
dy: szczupła nas liczba, a chudy, gdy chce utrzymać się cały, bardzo postępować musi rozsądnie. Jeden człowiek znękany tylu przygodami, w późnych latach życia niepotrafi wszystkiego przewidzieć — bez ogródki więc żadnej powiedzcie mężowie każdy co macie na sercu — bo wszakże to wszystko na dobro nasze ogólne spłynie.

— Zapomnieliście nam księżę, rzekł inny ze starszyzny najstarszy prawie wiekiem, zapomnieliście wspaniałomyślnie wszystkim nam niewiary — oświadczacie i chęć ku nam dobrą; niechaj błogostawią was bogowie i jak najdłużej zachowują wasz żywot dla szczęścia ludu. Zdawna myślałem nad tem jakoby się można ubezpieczyć od nieprzyjaciół napaści. Długo na zawsze ustrzedz się niezdolamy ich baczności. Dzisiaj musimy koniecznie szukać przymierza, a z Litwą bratnią to przymierze najznośniejsze. Nikt pewno niezarzuci mojej radzie fałszu lub nierozsądku, a widzę to i po was, księżę, że moim przychylni jesteście myślom! Patrzcie jak młodź nasza niecierpliwa, pragnąca bojów, snuje się wokół — czekając hasła na wojnę. Po cóż mielibyśmy pokolenie żwawe trzymać i tać po kniejach beczynnie? Nikt niezarzuci wam nierozsądku jeżeli zbierzecie siły na pomoc Litwie, a po skończeniu wojny, niechby sprzymierzyć się nazawsze! Jedne Bogi strzedz będą lud bratni, a sława Litwy połączy w sobie i Jadźwingów czyny.

Skończył starzec, zapytywał się innych Komiat, i nikt nie sprzeciwił się choćby jedną uwagą. Wnet hasło wojny dało młodzi, okrzyk dziki radosny rozległ się po kniejach, a naza-

już dwa tysiące gotowych do pochodu zebrano się niwie oczekując Romiata i wodzów ze starszyny.

Romiat zamysłony w samotności nad tem rozmyślał czyby Zdzisława wezwać pomiędzy lud i na wyprawę z Litwą prowadzić.

— Serce Zdzisława ogniste, lat tyle pracowałem nad nim, lat wychowywałem go tyle... o znam ja serce Zdzisława. Pamiętam przysięgi jego — jednakże obecna chwila tak wiele powiązanych rozjaśniła okoliczności — gdyby stanął pomiędzy nami Zdzisław tak wiele razem dowiedziałby się rzeczy — iż niepodobnaby mu było i pojąć i wierzyć wszystkiemu. A wreszcie jednego dnia porzucić Lachów z którymi obecnie od kołyski — i w drugim dniu już krew ich przelewać — na to... może niezdobyłby się Zdzisław... nie walczyłby jak należy... jabym niechciał aby o sobie złe rozpostarł w umysłach Jadźwingów na pierwszym wstępie mniemanie!! — Nie wezwę teraz Zdzisława — po skończeniu wyprawy dopiero.

Ale nie wiedział o tem Romiata, że walcząc przeciwko Lachom spotka go w ich szykach, nie przeczuwał że runą wszystkie jego zamiary i prace tyloletnie. Mógłże przypuścić to nawet Romiata, aby Zdzisław, co na mogiłach Ja-

dźwینگów przysięgał na cienie ojców zemstę Lachom — dzisiaj, wyrzekłszy się imienia i krwi tych ojców, już ma być Lachem nazawsze.

Mleczek uzbrowiony cały wpatrywał się w rodzica oblicze zasępione, i on był smutny.

— Co widzę mój synu, mówił do niego Romiat: ty zasępiony z łzą nieledwie na oku, z chmurą na czole — w dniu kiedy wszystka młodź raduje się z nastęczonych bojów? Czyli obawiasz się potęgi Lachów z którymi potykać się mamy?

— Jabym miał lękać się Lachów, lękać śmierci? krzywdzicie mnie ojcze... ja postanowiłem walczyć i bić co siły, tam uderzać gdzie śmierć najpewniejsza. — O! Mleczek niełeka się śmierci... Przyszedłem tu do was ojcze oznajmić wam że gotowi do pochodu oddawna czekają Jadzwingowie waszego tylko przybycia, waszego hasła....

— Dobrze synu, chwila jeszcze, niezadługo ujrzymy Litewskie dobrawy, zamki i świątynie. Ale nim opuścę domową strzechę, muszę jeszcze zobaczyć Diwanę i pocieszyć jej tęsknotę." — Zaledwie wyrzekł to Romiat, Diwana w towarzystwie nadobnych dziewic ukazała się przed nim — była smutna i blada.

— Chciałem też zobaczyć cię, moje dziecię —

nim wyprawię się na Lachy — i oznajmić twojemu sercu, że po skończeniu wojny twojego Zdzisławka będziesz miała nazawsze...

— Nazawsze! . smutnie odpowiedziała Diwana, dajcie to bogi — ale mnie coraz większy na sercu niepokój. Dziwno mi samej, ojcze, jak można było raz widzieć tylko Zdzisławka i już pokochać go z duszy — ja tylko o nim myślę, a im dłużej niewidzę go i czekam, tym boleśniej sercu; a Zdzisławko nie zna mnie nawet... a wróżbici dziwne opowiadają mi o przyszłości rzeczy...

— Nie smuć się, nie smuć lube dziecię, bądź dobrej myśli, powrócimy niezadługo. *Nim pierwszy zielony listek wiosenny pokryje drzewiny, skończą się twoje niepokoje.* . A teraz, żegnaj dziecię, żegnaj! niechaj cię Bogowie strzegą!

Uściskał Komiata Diwanę i spieszył pomiędzy hufy młodzi oczekującej go niecierpliwie. Diwana łzą zrosiła oczki. Mleczek zatrzymał się jeszcze w chacie po odejściu Komiata, spojrzenia jego na Diwanę były pałające, pierś mocne bicie serca wstrząsało, drżały mu usta — chciał coś mówić Diwanie i tylko dłoń jej uściskał; chce odchodzić... Diwana spogląda na niego, spogląda zdumionem okiem — czyby to drżenie miało pokazać Diwanie co w sercu Mlecza? Oj gdyby to Diwa-

na wiedziała, gdy Mleczek przekonał się o tem—
o ileż byłby szczęśliwym!!! „Nie zapomnij też
i o Mleczku” to tylko wyrzekł i odwracając się
szybko wybiegł za Komiatem, ale łza którą chciał
ukryć, oderwała się i padła na rękę Diwany.

5.

Wojewoda na czele hufców wyborowej młodzi i starych wojowników ciągnął ku Podolu, by tam połączyć się z wojskiem zebranem w Mało-Polsce. Zdzisław marząc o bojach i o sławie jakiej nabyć może w tej wojnie, coraz bardziej zapomniał o Olelku i o rodaków dzikiem plemieniu. Rozpowiadania starych wojowników w pochodzie, to o bojach z Brandeburczykami, to o Krzyżaków pogromie, to o Tatarów wypieraniu z granic — unosiły młodzieńczą duszę na pola zwycięstw, i przywiązywały bardziej co chwila do tych Lachów których nienawidził niedawno. Odgłos zdradliwych napadów Litwy, okrucieństw i mor-

dów spełnionych - oburzał Zdzisława przeciwko takim barbarzyńcom; wspominał sobie dawne swych przodków napady, one takimi były zupełnie - one tak samo oburzały młodzieńca serce i tym większą dla współrodaków obudzały w sercu niechęć. — Na granicy Podola płądrowała jeszcze Litwa, cofając się ku swoim ziemiom powoli, kilka tygodni niszczyła kraj biedny nim zebrały się dostateczne siły do jej wyparcia.

Jednego dnia w poranku zimowym nad małym strumieniem i wioszczyną zatrzymał się Wojewoda Rostka ze swojemi zastępy, czekając na dejścia niedaleko już znajdującej się masy wojska pod dowództwem Wojewodów i Kasztelanów. W zastępie Wojewody było do dwóch tysięcy zbrojnych. Litwini niedaleko zaczęli się w lasach — oczekując na zbliżające się wojska, aby je otoczyć i napaść na nieprzygotowanych, zniemacka. Wojewoda świadomy zrad podobnych z długoletniego doświadczenia, rozrzucił tak swoje siły, że choćby uderzył nieprzyjaciel zdradliwy, nieprzedarłby się przez tabory i głęboki parów, na dnie którego zamarznęty pod szybą lodu sączył się strumień dość szeroki. Rozstawione zdaleka stráže dookoła, miały ostrzegać i we dnie i w nocy o zbliżaniu się nieprzyjaciela, w przypadku. Rozłożone obozem

rycerstwo spoczywało po trudach długiego pochodu. — Wojewoda wysłał gońców do wojsk zbliżających się z uwiadomieniem, że **o** siłach nieprzyjaciół i o miejscu gdzie znajdują się ma wiadomość. **Dzień** cały spoczywały wojska spokojnie: nad wieczorem dopiero ci co wybiegli na wzwyżdy, powróciwszy, przynieśli wiadomość o zbliżaniu się manowcami Litwy.

Na tę wiadomość Wojewoda natychmiast dał rozkaz aby wojsko w gotowości stało do boju, a podwoiwszy gęsto straże rozstawione, wysłał świadomych miejsca, by o sile zbliżających się przynieśli wiadomość. Kiedy poczet wysłanych ruszać miał ku lasom, **Zdzisław** dopraszać się zaczął **Wojewody** aby i jemu pozwolił dowodzić tym oddziałem lub towarzyszyć mu przynajmniej. **Wojewoda** nie wzbraniał mu tego, zalecał tylko ostrożność w niebezpiecznej wyprawie bo dawniej taka była rycerska cnota, że ojciec nawet nie wstrzymywał syna kiedy ten leciał na boje. Tam gdzie dziesięciu ochotnych biegało, **Zdzisław** objął nad nimi dowództwo, a przewodniczony od miejscowego tych okolic mieszkańca, w głębokie zapuścił się bory. — W cyplu lasu, już o północy, przy blasku księżyca, ujrzeli dopiero mały zastęp Litwinów. **Zdzisław** rozesłał do koła swoich, kilku postawiwszy

przy stepie którego bór dotykał. i na dane hasło ze wszystkich stron uderzyli wszyscy. Litwy było w dwójnasób tyle, lecz słabsi za to i uzbrojeniem i sercem zaczęli w różne rozpięchać się strony. Kilku schwytanych było dostatecznym językiem do powzięcia wiadomości o liczbie i zamiarach nieprzyjaciół. Zdzisław nowych nie szukając niebezpieczeństw, wracał z pokrępowanymi więźniami do obozu spiesznie. Ale niedaleko już równiny na której Wojewoda rozłożył się taborem, spotkał Zdzisław kilka Litwy hufców podsuwających się z cicha. Czyby straż już ściągnęły się ku obozowi i dały o napadzie wiadomość, czyby też poginęły zdradnie popodchodzone przez Litwę, nie można było dociec. To pewna że ich łańcuch rozciągał się aż dotąd, ale cisza w obozie głęboka, pogasłe ogniska niezapowiadały wcale gotowości do boju. Chwili nie było do stracenia, poznaje przewodnik zdala Litwę skradającą się już pod obóz cichaczem. liczba ich co prawda niewielka, ale w nieprzygotowanym do odporu rycerstwie dzicz znagła wtargnąwszy do obozu wielką może sprawić klęskę. Znalezione trup zamordowanego wojownika aż nadto utwierdza w tem przekonaniu że Litwa pomordowała straż, jeżeli więc nie ostrzegą hasłem obozu, wszystko

przepadnie. Rada w tej chwili była krótka, postanowienie silne — a to by uczyniwszy jak można wrzawę największą, przedrzeć się z mieczem w rękę aż do swoich. Co umyślili spełniają natychmiast. Cichaczem podstąpiwszy ku tej stronie co krzewiną była zarosła i gdzie przerwa w zastępach Litwy prowadziła ku obozowi, tu zmierzwszy na czele swoich Zdzisław, pierwszy dał hasło do uderzenia, z hukiem powtórzyło je kilkunastu towarzyszy i pędem strzały puścili się z nieustającym krzykiem na szyki rozrywające się Litwy. Nieprzyjaciele tak blisko dostawszy się obozu, po uprzątnieniu straży zdradliwej, rozumieli że tej chwili sami popadają w sidła, bo okrzyk Lachów tak niespodziewany i nagły, jeszcze z tyłu uderzających na ich szyki, przestraszył ich niewymownie i zaraz mieszać się poczęli. A gdy na hasło trwogi zbudzone rycerstwo w obozie szykować się poczęło do boju, gdy długim pasmem zaczęły błyszczeć ogniska, wtedy Litwa już do ucieczki zabierać się miała. Ale spostrzegła się na podstępnie Lachów i szczupłości ich siły. Już Zdzisław dopada taboru łańcucha z towarzyszami, ale obskoczony ze wszech stron stoczyć musi walkę i wytrzymać ją, nim z taboru wyciągnie szyk pancernych lub hussarzy i nadejdzie mu w pomoc,

Strzały sypane na nieprzyjaciół z za wozów przerzedzały uderzających na drobny hufiec Zdzisława, bój przecież nieustawał owszem ze wszystkich stron napadli na tabór Litwini. Już dzień na niebie zaświtał, toczy się jeszcze nierówna walka, i wzmagać się owszem poczyną, gdy Litwy coraz nowe przybywają na pomoc oddziały poznają szczupłe zamkniętych w taborze siły. Już Litwa górę brać zaczyna i wyłomem do głębi obozu wdzierać się zamysła, gdy nagle trąby zagrzmiały i pieśń Boga Rodzicy brźmi na błoniu zdaleka. Poznała Litwa to hasło nadciągających posiłków zbyt licznych i trwożyć się poczęła, poznali nasi swoich pieśń bojową i serca im przyrasta. Gasnące powoli w nowej sile obudzają się siły, rwie się kto żywy— Zdzisław co przedarł się do wnętrza taboru ze swoimi i tam zamknął, zbiera ochotną młodzież i bez starszych rozkazów uderza na cofające się pogany. Ale Litwa widząc stanowczą chwilę i cofania się niepodobieństwo, sprawiona przez dzielnego Gedymina swojego Księcia, szykuje się długim na błoniu łańcuchem, i zanim jeszcze połączyły się Lachów siły. już półkolistym zastępem oni dotykają ściany lasu i taboru, jednym skrzydłem uderzają na tabór z dawną natarczywością, drugim na przybyłe dopiero

co posiłki. Litwy było do dziesięciu tysięcy, naszych pięć razem zaledwie — tamta dufała w liczbę; nasi, niezwłocznie na próżnych harcach i chwili, starli się z pogaństwem z zawziętością i bój zawrzał straszliwy. Z jednej strony dzikie okrzyki, z drugiej trąb wrzawa i chrzęst stalowej zbroi pomiędzy ścierającymi się słychać, uderzają kopje, kruszą się na pancerzach Litewskie strzały i miecze, ale chociaż już godzin kilka krew płynie, żadna strona przewagi nie bierze. Na lewem skrzydle Litwy bije się pieszy zastęp dziczy — ale sercem nieulekłym zbrojny, nie zazdrości Lachom ni zbroi ni koni. W dłoniach oszczepy i długie spisy w pierwszych rzędach, a z tyłu wyćwiczeni łuczownicy sypią strzały walące pancernych i bussarzy. Na czele tych poganów walących pieczo przywodzi jakiś stary barbarzyńiec, cały odziany w niedźwiedzie skóry; krótka tylko koleczuga, naramienniki i płaski okrągły szyszak na głowie ozdobiony czaplemi piórami — to jedyna jego zbroja, na rękę lewem tarcza skurzana z niewyrażeniem godłem wyobrażającym gwiazdę i dwa kły po bokach — w prawicy sękata krzemieniem nabijana rohatyna — a z piersi tego dowódcy ryczące płyną okrzyki, zachęcające do boju swoich wojowników. Twarz tego wodza za-

puszczoną okryta siatką, czerwieni się jednak przez tę zasłonę, świeci bliznami, oko strzela ogniem tak żywo, jak długie uwijają się ręce. Już prawe skrzydło Litwy przełamują nasi. — na lewy zastęp walczącego pieszo pogaństwa na próżno uderzają pancerni lub hussarze, bo jeśli hussarz z kopją przez pierwszy przebije się rząd nieprzyjaciół, wnet upadnie zdradnie przeszyty z boku razem ze swoim koniem, a na trupach stawają młodzi wojownicy nadstawiając niechę kliwe piersi niedźwiedzią tylko zasłonięte skurą. Pierzecha Litwa na prawém skrzydle, a im większe siły uderzają naszych na lewe, tym bój wszczynają się zjadliwszy, bo za ścianą walczących pieszo bór ciągnie się gęsty zarosły — a dzicz, co nowy ujrzy przed sobą zastęp, to dzikszys jeszcze wyda okrzyk radości, jak gdyby cieszyła się że więcej przybywa im do mordowania Lachów. Niewidziano nigdy takiego męstwa i żelaznej woli w Litwinach, a Wojewodowie, chociaż rozjątrzeni uporem pogaństwa, podziwiają jego męstwo. Nacierając z nową zawziętością, nawet przewagą liczby i uzbrojenia wojsk swoich wygórować nad pogaństwem nie mogą. Nadciąga z pogoni Wojewoda Kostka w tę stronę pola bitwy, uderza z Zdzisławem razem — za ledwie szyki jego starły się z pogaństwem poznał Wo-

jewoda z kim sprawa, poznał ród Jadźwingów. Spojrzał dokoła siebie Wojewoda szukając oczami Zdzisława, cieszy go męztwo młodzieńca które okazał bijąc Litwę, ale tego nie żąda i nie chce, aby Zdzisław krew bratnią przelewał i od dalszych powstrzymać harców postanawia. Ale próżno szuka go okiem — gdy spojrzy w stronę nieprzyjaciół widzi tylko Jadźwingów, wspomina sobie Bożenę, ale już dawna zemsty żądza krwi nie zapala tak w piersi, bo ta krew już przestudzona, dłonie osłabione wiekiem i serce już nie tak zapalone jak w młodości porze, gdzie niepytając się i niesłuchając głosu rozsądku uderzał tylko i zwyciężał. Dziś w sercu żalność tylko zatlala, spojrzął na szczupły zastęp Jadźwingów, wspomniawszy sobie ich klęski, podziwił wytrwałe szczupłych sił męztwo i dał znak swoim aby uderzali. Zachęconym już zwycięztwami przeważnemi nad Litwą, niewiele trzeba było poddawać ognia, ani też bawili się z pozostałą pogaństwa garstką. Ze wszech stron natarłszy silnie wparli ich w puszcę głęboką — gdzie ci, z nieporównaną zręcznością, choć w takim tłumie, cofali się i zbierali kupkami stawiając czoło ścigającym i syjąc strzały z łuków, że Wojewodowie nieupatrując żadnej, w pogoni niebezpie-

cznej, korzyści — ścignęli swoje wojska, które do pięciuset zmniejszyły się liczbą poległych w walce z Jadźwingami.

Młody Zdzisław z powierzonym sobie przez Wojewodę hufcem, już na polu bitwy — cuda waleczności dokazywał, i okazał niepospolitą w kierowaniu wojskiem zdolność. Z małym swoim oddziałem walczył na dziesięciu punktach bitwy, i wszędy przechylał zwycięstwo, łamiąc uporczywość broniących się lub przeważających nad naszymi pogan. Już cały środek nieprzyjaciół i prawe skrzydło uszło z pola bitwy, a ścigane poniosły najokropniejsze klęski — gdy Zdzisław dojrzał jeszcze hój zawzięty na skrzydle lewem, i natychmiast skierował tam swoje siły. Widząc dwóch wodzów jak sądził, broniących się najzawzięciej, zostawiając swoich już wdanych w sprawę z pogaństwem, sam zmierzył ku nim wyzywać na harce. Zdzisław przybrany był w najświetniejszą zbroję jaką za ledwie książętom lub królom kowają płatnerze, na jego hełmie powiewała kita z końskich włosów, na lewej ręce zwieszała się tarcza z godłem rycerskim, na ramionach łańcuch złoty, a niezapuszczona przyłbica niezasłaniała męzkich i pięknych rysów jego twarzy. Kiedy Zdzisław nadbiegł i stanął przed wodzami Jadźwin-

gów, kiedy już miał na jednego uderzać i kopją długą wymierzył. i rumaka ostrogą do skoku pobudził — wstrzymał się, jak piorunem rążony, bo poznał głos ryczący Olelka, poznał walczącego obok Mleczka. I oni poznali Zdzisława, a dawszy hasło swoim wojownikom uderzyli nań; niebronił się Zdzisław i wprowadzili go w głąbią lasu. Jego ręce związane szybko — koń pochwycony za cugle — kilku otacza go Jadźwingów i w głęboki las prowadzi. Dojrzało tego wypadku towarzyszy kilku Zdzisława i uderzyli na pogan z całą siłą. Już wtedy łamały się i w las cofały ich szyki, i pomimo najżywszej chęci próżno ich ścigać było. Przyniesiono Wojewodzie Kostece wiadomość o uprowadzeniu dziwacznem syna, powiedziano mu że i miecza niepodniósł, miecza którym tyle cudów waleczności w całym daniu dokazał — czy to urzekli go guślarze pogańscy, czy Zdzisław opadł na siłach wycieńczony trudami, dość że niestawił oporu, dobrowolnie prawie poddał się poganom. A co dziwniejsza nie zabili go okrutnie poganie jak innych branców, ale wprowadzili tylko w głęboką puszcę — Wojewoda kochał Zdzisława jak niegdyś Bożenę, opłakał los nieczczęśliwy przybranego syna, bo wszelkie pogonie próżnemi były, i tylko unmyslił

ogłosić wykup za niego bogaty i z tem wyprawić posły od siebie do Litwy.

Zdzisław tymczasem z pola bitwy uprowadzony w najdziwniejsze wepchnięty był marzenia i uczuć walkę. — Sam niewiedział jaki go los czeka, ale był pewnym że widział Olelka i Mleczka walczących; to mógł być pewnym że oni niepragną jego śmierci, ale Zdzisław nieobawiał się i śmierci. On tylko rozważał męstwo nieporównane i liczbę Jadźwingów — on byłby krew bratnią przelewał niewiedząc o tem, gdyby przeznaczenie czy traf szczególniejszy nie skierowały go były w tę stronę gdzie przywodził Olelko i Mleczko! Co wreszcie powie Olelko na to, że Zdzisław z Lachami wspólnie z bratnią wojował Litwą, co powiedzą na to Jadźwingowie?... nad tem niepokoił się Zdzisław.

Już noc była ciemna kiedy przybiegło do pilnujących Zdzisława, dwóch starych wojowników Jadźwingów i przynieśli rozkaz taki, aby bratnia zaprowadzić do koczowiska, jednakże z zaleceniem, aby przyjmowany i traktowany tam był nie jako braniec ale jako gość dostojny.

W dni kilka Zdzisław był już niedaleko koczowiska, kiedy nowa przybyła wiadomość za nim w tropy, o porażce Jadźwingów. Jedni spieszyli do koczowiska zebrać tam jakie można je-

szece posiłki, innych kilku z tych co pilnowali Zdzisława udało się na pomoc swoim, dwóch tylko młodych strażników zostało przy Zdzisławie, którzy okazywali chęć najżarliwszą do pobiegnięcia na pola bitew i gromienia tam nieprzyjaciół. Przeklinali brańca w swoim języku, że go pilnować muszą. Zdzisław milczący przez dni kilka podróży, gdy widać zrobił jakieś postanowienie w duszy, powoli zaczął rozjaśniać czoło. Przypatrując się swoim strażnikom jednego razu, kiedy ci obarczali go przekleństwami, przemówił do nich Jadźwingów językiem—

— Pragniecie bojów, któż wam pobiegnąć na Lachy zabrania?

Zdumieni młodzieńcy spojrzeli na Lacha z kądem on zna język Jadźwingów, będąc tak młodym, a Lachy teraz nie wojowali długo z Jadźwingami i starzy brańce po zamkach ich wymarli — gdy zaś Zdzisław powtórzył zapytanie swoje, jeden z nich, starszy, odpowiedział:

— Kto nam broni? czyliż wodzowie nieprzyjacieli rozkazów aby ciebie odprowadzić aż do koczowiska?

— To prawda, odpowiedział Zdzisław: ależ zalecali wam abyście mnie uważali jak gościa pomiędzy wami, nie jako więźnia — a wszakże u was innych brańców mordują ...

— To prawda, ale ty może Lach bogaty albo książę jaki, poznał ciebie nasz wódz co pomiędzy wami często przebywa, i dlatego zostawia cię żywym, aby okup zyskał bogaty

— Jam nie Lach ani nie książę Lacki — a jeżeli was taka pali chęć ku wojnie, jeżeli znacie co to są rycerze — to ja was uwolnię od straży, dając wam słowo, że sam zajadę w tę stronę, w to miejsce, gdzie doprowadzić mnie macie zlecenie, a sami biegnijcie na boje!

— Ha! ty nas chcesz oszukać! o jaki byłbyś ty rycerz, pozwalając nam na Lachów twoich braci uderzyć!... twoich krew przelewać?

— Jam nie Lachem, już wam powiedziałem, a jeżeli widzicie stroj Lacki i uzbrojenie, wszakże i Olelko wódz wasz choć Jadźwiuga, często przybiera się w szaty takie jak noszą nieprzyjaciele, i Lachom śpiewa pieśni na uroczystościach?... Patrzycie na mnie zdumieni z kąd ja znam Olelka? oj! znam ja go dawno, kocham jak ojca, bo najlepszy to mój przyjaciel, a chcecie wy teraz moim słowom uwierzyć?

— Ty może od brańców albo od kogo słyszał o Olelku i mówisz o nim — my niewierzemy tobie...

— Jednakże walczyć i krew Lachów przelewać macie ochotę?..

— O, to pewna, ale musimy próżnować bo wódz nam tak kazał.

Tu Zdzisław dobył myśliwskiego rogu i uderzył weń przeciągle — zadrżeli prawie Jadźwingowie młodzi na znajome sobie hasło i patrzeli dokoła zdumieni — aż ujrzeli w ręku brańca róg co wydał to hasło, róg znajomy, i wpatrywali się w twarz jego bacznie.

— A co? mówił Zdzisław z uśmiechem: czy wierzyliście temu hasłu, czyjeż to rogi takie dźwięki wydają?

— Rogi Komiatów, naszych książąt.

— A wolno komu takie rozbić hasło na borze?

— Niewolno... tylko Komiatów rodowi.

— Czy rozumiecie mnie teraz i wierzycie moim słowom? Jam nie Lach, jam Jadźwinga, syn Komiaty, przebywałem dotychczas pomiędzy Lachami... Czy słyszeliście o Zdzisławie?

Młodzieńcy nic nie odrzekli i tylko pokłon oddali głęboki krwi Perugina — a Zdzisław do nich mówił:

— Idźcie i bijcie Lachów! Możecie mi zawieźć że sam zajadę do koczowiska, pokażecie mi tylko drogę — a ten róg swoim hasłem obroni mnie w przypadku — a wy biegnijcie Oletkowi w pomoc!

Pokłonili się młodzieńcy i pokazali niedaleko

przebijające się zmrożone zwierciadła Buga , mówiąc:

— Tym postępując brzegiem staniecie na niwie pokrytej naszymi chatami, wpiérw jeszcze nim słońce zapadnie. —

Zdzisław dał znak młodzieńcom i uradowani wnet udali się za swojemi wojownikami w ślady, a Zdzisław postępował brzegami Bugu powoli. Nieodebrali mu Jadźwingowie ani zbroi, ani konia; był tylko z jednym mieczem i tarczą, bo postradał kopia i oszczep i dziryt w bitwie, pokruszywszy je na Litewskich karkach.

Już słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy na Buga zabrzeżu rzedały knieje i Zdzisław ujrzał zdala niwę pokrytą chatami, a pomiędzy nimi snuli się Jadźwingowie w rysich kołpakach, uzbrojeni — wybierając się zapewne na wojnę lub powierzona mając straż koczowiska. — Na widok Zdzisława wydali dziki okrzyk trwogi bo rozumieli że Lachy aż do ich siedzib wtargnęli — gdy zaś widzieli rycerza śmiało postępującego do koczowisk ich środka, samego tylko — nowym okrzykiem dali hasło napadu, a zewsząd i młodzieńcy i starce obskoczyli go wymierzając łuki i dziiryty w jego piersi.

— Ha! Lachu! popadłeś w nasze ręce, my tu krwi waszej głodni, a wy Jadźwingów bijecie!..

Nieujdziesz z rąk naszych cały, wymknie się chyba dusza, ale i dusza twoja gdy po nad kniejami ku ojczystem ulatać będzie niwom — jeszcze i ona pochwyca cienie pomordowanych naszych ojców i braci — i duszę twoją rozszarpia — cienie pomszczą się na cieniu!

Takie zewsząd brzmiały krzyki wszędy nastawione łuki i spisy dokoła Zdzisława

Młodzieniec spojrział dokoła i aż obmierzła mu ta dzikość; czy w sercach tego ludu niemasz gościnności cnoty, takie krwi pragnienie chciwe! to zgroza! Nie Jobył miecza Zdzisław, koń dumnie nastawił czoła, parska nozdrzami strzyże uchem i kopytem ziemię zarywa, niecierpliwie czekając bodźca rycerskiej ostrogi i zbroi szczęku słuchałchciwy. Ale Zdzisław pogardliwem i dumnym mierzy wszystkich spojrzeniem i szepce sobie w duszy:

— O Boże wielki! czyliż to rodaków moich męztwo, ta waleczność jaką na polu bitwy widziałem, z takiej jedynie, wypływają dzikości? I tu mnie to Olelko tak namawiał, abym panował nad dziczą?!

— Ha! Lachu!... zsiadaj z konia lub zsadzą cię z niego nasze spisy!

I tłum coraz bardziej ściska się około młodego rycerza, ostrza dotykają prawie jego zło-

conej zbroi. Niebezpieczeństwo wzrasta co chwila, i chwili więc napróżno trawić niepodobna, bo przebić się przez tłum i uchodzić, niepodobna. Zdzisław musiałby krew przelewać bratnią... Ale przypomina sobie róg od Mleczka darowany mu jako upominek przyjacielski — tym rogiem zbawić się może — i wnet go chwytą i trzy razy weń hasłem trwogi uderza. Zadrżeli Jadźwingowie i cisza dokoła — opadły ostrza ku ziemi, cofają się w stronę tłumy. Spogląda Zdzisław po strwożonej tem hasłem dziczy i znowu sobie дума:

— Jak dzicy, tak do dzikszego jeszcze nazwyczajeni hamulca — i ja miałbym cały mój zagrzebać tu żywot — ja miałbym rządzić barbarzyńcami?! Zachowaj mnie o wielki nieba i ziemi Twórcu! Twojej polecam się pieczy!... Jestem Jadźwingom krewny, dał mi życie Romiat, jeśli więc dług natury każe mi dobrem służyć krajowi i braciom — ja ślubuję Ci Boże przynieść tu słowa Twoje święte, pokój i miłość bliźnich!

Spojrzał po Jadźwingach raz jeszcze, spojrzał po niezgrabnych chatach — tu i owdzie porozrzućane trupie kości, to pewno zemsty dzikiej biesiada. Już postanowił w duszy: raz tylko jeszcze po rodakach, spojrzał, i spiąwszy ostrogą konia pomiędzy rozstąpionym przejechał ludem. Złote Zdzisława włosy pływają na fali, lśni się zbroja i płaszczyk żywemi powiewa barwami,

a dzielny rumak wstrząsa grzywą i hasa przez równinę lekkimi poskoki.

Zaledwie Zdzisław kilkadziesiąt od tłumu oddalił się kroków, zaledwie do połowy koczowiska dosięgnął, wrzawa za nim brzmi w nowej sile.

— Schwytać Lacha! on z bojów wraca, może zabił Mleczka, może zabił samego Komiat i łupem nas zwodzi, zdradnie wymyka się z rąk naszych!

Słyszy Zdzisław te krzyki, ale nie uchodzi w puszcę, tylko zwraca konia i spogląda tłumom śmiało w oczy. Duma na jego czole osiadła nie przejmując uwielbieniem dziczy — Jadźwingowie nieznają cnót rycerskich, chyba zna je Komiat, zna Mleczko. Otaczają Zdzisława, z konia ściągają — spina się i zrzyma dzielny rumak, jak gdyby zdziwiony spogląda panu w oczy — wyrывa cugle przez pogana uchwycone i stawa przy boku pana. Rycerz nie dobywa miecza, oderwał go tylko i rzucił cheiwej łupu dziczy. Zrozumiał rumak dumne pana spojrzenie i stoi spokojny jak gdyby jednemu z panem poddawał się losowi — spojrz na dzicz i parska jakby gardził tym gminem gdzie niemasz cnoty ani jej odcienia — ani czujących jej piękność i wielkość.

— Ty Lachu zabiłeś którego Komiatą; zkad u ciebie ten róg? — to róg Mleczka!... on zabił Mleczka! — zginiesz, na Peruna!... to morderca Komiaty!

Dokoła powtarzają się te okrzyki, dzikie odbijają je lasy — Jadźwingowie postanawiają najokropniej męczyć Lacha, zabójcę Mleczka syna Komiatowego!

Gdyby jedno słowo wyrzekł Zdzisław, jużby ocalał — gdyby poznali w nim Jadźwingowie krew Perugina — uderzyliby czołem; ale młodzian oburzony taką dzikością, taką krwi żądzą, nie otworzy ust, chociaż rozumie dobrze te hasła śmierci brzmiające do koła.

Zdzisław na polu bitwy widząc dzielność rodaków, rozumiał i sądził o nich wyżej, teraz mu wyjaśniają się rodzinne ich przynioty, a w tem co podziwiał przed kilku dniami na polu bitwy, widzi tylko obecnie te cechy wybitniejsze jeszcze, łupieżstwa podłego żądze i krwi niesytość. Chociażby zginąć mu przyszło, niech zginie! tak postanowił; może kiedyś, gdy dowiedzą się, gdy poznają wielkość swojej zbrodni, upamiętają się przeciw — pogardzą rozbójniczem życiem taką nacechowanem dzikością.

Pośród dzikiej wrzawy odarto ze zbroi Zdzisława, cieszą się tym łupem Jadźwingowie, zgro-

madzają do koła — i znoszą narzędzia i radzą nad tem jakby umęczyć go tym okrutniej. Jedni rozpalają ognisko i parzyć go ogniem zamierzają.

— Ha Lachu!... tak popalemy twoje piersi i dłonie, jak Lut złoczyńca męczył biedną Lidę.

Tam znowu wbijają pal wysoki, znoszą wici i przywiązać myślą na cel do strzału.

— Ty nam staniesz za tury, danielu! my w twoje mierząc serce, uczyć się będziemy jak przebijać strzałą serca danieli..

Mięsza się dzika wrzawa i niezgodne krzyki walczą między sobą — a żadne dotąd nie wzięły góry katusze — bo zemsta za krew Mleczka Komiadowego syna. Nareszcie zgodzono się na to, aby wszystkie wytrzymał z kolei braniec męczarnie. Naprzód wystąpił dziki poganiec i maczugą nad głową wywijać mu począł — czy ulęknie się więzień, aby go na pośmiewisko i uciechę widzów wystawić. Ale Zdzisław głowy nie uchyli, tylko spojrzy w oczy barbarzyńcowi i zimną, rozmyślną częstuje go pogardą — Nadbiega inny z rozpaloną głownią i przysuwa mu ją ku oczom, Zdzisław nie mrugnął okiem, bo w oku duma osiadła — a duma nie ugina się nigdy. — Przy-

biega wreszcie inny, stawia brańcowi na głowie gliniane naczynie, odsuwa się daleko — zmierzają łuk wyprężony — struna brzękła, strzała świszczy — a Zdzisław nie uchylił głowy i każdego pogana zimną uczył pogardą.

— Dość, dość już tej swawoli, mołojce! — nie lękasz się Lachu igraszek poprobujesz katuszy! zawołał starszy Jadźwinga jak młodzieńce i przybliżył się do rycerza, popchnął go ku ognisku — wołając: — „dajcie mu ognia!” A potem ostatnie zrywa z młodzieńca odzienie. Już dłonie zbrojne główniami zmierzały w jego piersi — i dzika radość ustaje razem, głos zamiera w dzikiej piersi — padają na twarze Jadźwingowie przed rycerzem, wołają przebaczenia, skupia się lud — kto spojrzy na pierś Zdzisława — woła: ..Komiati to, Komiati!

Czołga się podły tłum w pyłe, uderza czołm przed krwią Perugina starce z pokorą oddają mu odzienie — ale on słowa nie mówi do nich, widać tam w duszy ostatnie przyjaźni uczucie dla Jadźwingów wygasło. Odziewa się w szaty i zbroję Zdzisław, dosiada swojego konia, i kiedy około niego brzmiały modły przytłumione, pokorne, chórowe, on spina konia i zmierza ku Łachów krainom,

Zaledwie ominął chat kilka, spostrzega przed dworcem kształtniejszym jak inne chaty tłum przypatrujących mu się niewiast między niemi, na czele prawie, w bogate szaty strojna krasawica. Spojrzał z pogardą Zdzisław na te niewiasty przypatrujące się tak chciwie barbarzyńskiej uciezce — a w tem usłyszał słodkim głosem wymówione swoje imie: «*to Zdzisław!*» Głos zabrzmiał, głos słodki, brzmiący pieśczoneo, jak gdyby z ust Helszki wyszły — spogląda ciekawie i trwożnie młodzieniec — i widzi Diwanę powtarzającą radośnie: «*To Komiatu syn Zdzisław! To synu Książęcy i panu Jadźwingów przyszły!*» Zatrzymał Zdzisław rumaka i wpatrywał się w dziewicę nadobną — a zdziwiony z kądyby ona była przybliżył się i pytał:

— Czy ty Polka i branka? tu więziona pomiędzy dziecżą?

— Nie jam Jadźwingów córą, córą dzielnego wodza, co zginął pod mieczem Lachów! Jam Diwana — a ty syn Komiatu i ty Jadźwinga, wszakże prawda?

— Zkądże ty znasz mnie, dziewico?

— Oj, znam ja dawno ciebie Zdzisławie, raz mi tylko pozwolili widzieć Komiatowego syna... a odtąd twój obraz wiecznie w duszy, czy marzę czy śnię — śnię i marzę o tobie! Ty

moim narzeczonym, słyszałeś o tém pewno i pragnąłeś tak widzieć swoją kochankę, swoją żonę przyszłą, jak ja zawsze tęsknię za tobą!

Zadziwił się młodzieniec słysząc te słowa z ust Diwany wyszłe... a więc to Olelko sprawcą tego wszystkiego.. jakież miał prawo do rządzenia moim losem, moją przyszłością!?

Diwana tymczasem, prosta i szczerą jak dziecko natury, oddając się radości z ujrzenia swojego kochanka — radości bez granic — woła na swoje dziewoje i zachęca do płaśów, zachęca je do pieśni. —

„Zsiądź z konia mołojcze,
Do chaty prosiemy,
W gościnę, w drużynę!

„Zobacz twoją miłą,
Zobacz szczęście twoje.
Ten wianek zielony.
Co zdobi jej czoło,
To wianek dla ciebie,
Mołojcze, dla ciebie!

„Zsiądź z konia mołojcze,
Do chaty prosiemy,
W gościnę, w drużynę!”

Zdzisław słuca tego śpiewu, ale z konia nie zsiada, i gdy mu chleb podaje na znak przyjaźni Diwana — on chleba niebierze, nieudarzy dziewczyny pocałunkiem lub słodkim spojrzeniem, tylko zmarszczył czoło i tak żegnał:

— Bądź zdrowa, dziewico! kiedy Bug lody pozrzuca z siebie, kiedy niwy odziewają się w zielenią, kiedy na ługach pokwitną pierwiosniki... wtedy moje gody!..

I spał konia ostrogą i pojechał daleko, daleko gdzieś w Lachów kraje — a Diwana pobladła za nim patrzy i patrzy; ledwie oczów nie wypatrzy — stoją nieme dziewczęta i patrzą za rycerzem, to znów patrzą na Diwanę, a z czarnych oczu Diwany po jagodach białych płyną łezki jak uryańskie peretki, toczą się, toczą, i upadają na śnieg biały, a łezki tak gorące że śniegu przetopią warstwy i czarne pokażą dno ziemi. Płyną łezki i płyną z oczek Diwany krasnej dziewczycy, okalają dokoła matrony i druchny, cieszą, wróżą — to próżno! Diwana jak martwa stoi z łzą na oku, co patrzy za rycerzem ciągle, ledwie nie wypatrzy się z namiętności, a serce szybko bije — a nieporuszają się piersi ni dłonie.

Mija dzień jeden, drugi, mija trzeci, dziesiąty... we łzach oczu Diwany — Diwana przy o-

guisku siedzi pośród krasawic — słucha starych powieści, słucha i starych pieśni — i wszystko nierozrywa, nie smutku niepocieszy, chyba gdy imię Zdzisława obije się o jej uszy — ten głos do serca zapłynie, ten dźwięk wstrząśnie jej serce i z piersi wynurzy się westchnienie, za westchnieniem piosenka, piosenka smutne i żale... Oj żal się tobie Boże, dziewczyno! Płynie zima i przepływa, wschodzi wiosna i stapia lodowe Bug zapory, kry płyną, śniegi po lasach topnieją, osychają niwy; zieloność okrywa niwy, z wojny dawno skończonej, z układów z Litewskimi pany powrócił Komiat i młodzież z nim cała. Już modre kocanki wystrzeliły z ziemi i pieszczone pokazały główki z mchowych słanek przebiega Diwana lekką stopą jak puchy miękkie mchowe murawy lasu, zrywa modry kwiat, złote mchu kędziory, i w orszaku swoich krasawic śpiewających hasających wesoło zmierza ku niwie, ku tej gdzie dąbek rośnie młody, i stroi go w kwiateczki modre złote mchu kędziory — mlekiem polewa i śpiewa:

DIWANA.

„Rośnij dąbku mój złoty,
Rośnij w górę wysoko!

Ty Zdzisła wko mój luby !..
Ach, kiedyż, kiedy razem
Ze Zdzisławkiem w twym cieniu
Na mchowej pościółeczce
Usiądziemy tu sobie!

CHÓR DZIEWIC.

„Po ziółeczkach świeżuchnych
Szumi Bug kryniczny —
A po łąkach zielonych
Błyszczą kwiatek śliczny! —
Przyjedzie na koniku,
Na koniku białem...
Oj nieznajdzie mołojca
Nadeń w świecie całym!

DIWANA.

„Dawno wiosna zieleńią
Postroiła smugi,
Dawno słowik w dąbrowie
Spiewa pieśni swoje,
Kukułeczka na borze
Kukułeczka z ziela,
Wróży pannom jak długie
Czekać do wesela.
Ja czekam: roczek jeno,
Roczek mi wróżyła.
Rok spłynął, wiosna idzie. —
A Zdzisławka niema.

CHÓR DZIEWIC.

„Oj przyjedzie, przyjedzie,
Nie smuć się dziewczyno —
Ani go się spodziewasz,
Tylko patrzeć jeno...
Posłuchaj, jak słowiczek
O nim piosnki śpiewa,
A słowik śpiewa tobie —
„Twój się dobrze miewa.”

Ranek wesoły, toć i w sercu Diwany weselsza nadzieja — Komiat poszedł do zamku Lachów, przyprowadzi Zdzisława, tak jej obiecywał: Gdy cieszą Diwanę dziewice, ona myślą ulata, gdzieś roi zamki Lachów, a w tych zamkach Zdzisławka i smutnie śpiewa, z serca płyną zale... Żal się tobie Boże dziewczyno! Gdybyś ty uleciała jak myśl twoja w Lachów zamki — posłyszalabyś tam jak dzwoni spiżowy kołysząc się na fali rozgłośnych dźwięków, zwołuje Lachów do kościoła, a w tym kościele kapłan stoi przy ołtarzu i na kogoś czeka, pacholeta małe trzymają pochodnie ślubne — to dla Zdzisławka twojego pochodnie a Łaszka z nim klęknie do ołtarza!!!

6.

Na zamku Starosty zebrało się gości liczne grono; starzy wojownicy, młodzi z świeżą chwałą nabytą na Litewskiej potrzebie, wszyscy weseli jak na weselnych godach. Aleć czasem jak chmurka i tu i owdzie smutek czoło zasępi, bo to wojna, temu syna, temu sprzątnęła brata, dziewicy kochanka, a często i dziada wnukom.

W ubocznej komorze swachny stroją do ślubu pannę młodą, druchny śpiewają weselne pieśni, ona płacze, to dziwna! Ale Helszka nie dlatego płacze iżby nieszczęściem widziała zaślubiny, ona kocha Zdzisława i rada weselu, ale

słyszając te pieśni posępne druchem, jak żegnają towarzyszkę lat dziecinnych — toć i łza z oczu mimowolnie popłynie, bo chociaż serce rado, to rado z jednego Zdzisława, a dla jednego Zdzisława Helszka traci wszystkie towarzyszki. Chwila tylko jeszcze po ślubie tańców, śpiewów i uciechy z niemi, ale gdy tylko matrony wczepiec ją złoty ubiorą i mężowi oddadzą, już wtedy dawne przyjaciółki nieuścisną jej tak przyjacielsko, tak szczerze jak dawniej — bo ona wtedy już w grono poważnych wnidzie matron, a gdy na pożegnanie uściska je z kolei, one ją jako mężatkę już poważną uścisną tylko za nogi, i zapłaczą sobie. Bo to w święto czy obraz we wstęgi ustroić, czy białą ponieść chorągiewkę, już go nie ustroi Helszka, już jej nie poniesie ona. Ta błoga życia wiosna raptownie zerwie się prawie, zniknie dla Helszki nazawsze. Miłość dla kochanka w nowym zawodzie, ona jeszcze znajdzie szczęście dla życia, ale któż powróci swobodę taką jaką w młodem gościła sercu! Żona i matka zamknąwszy w głębi serca wszystkie marzenia o świecie, całym światem ujrzy dom tylko rodzinie nowej — ona wychowywać będzie corę i powie jej morze kiedy jak kochać wiernie i stale, jak ona Zdzisława kochała —

Dzwon zakotłosał się na wieży zamkowej dając hasło orszakowi weselnemu aby spieszył do świątyni, gdzie kapłan u ołtarza czeka, czeka ze stulą i rotą przysięgi — tak pożądanemi dla kochających się zawzdy. Zdzisław posłyszał to hasło i tak mu w sercu wesoło, i razem jakiś niepokój wstrząsnął z cicha nerwami, aiby to zimno przebiega po tem sercu — ha, zimno poprzedza upały, pośród skwarów zda nam się czasem że zimno! Ale ten dreszcz tajemny przebiegł w duszy, coś zaszeptał Zdzisław i popadł w chwilową zadumkę — i zerwał się nagle, ani znać wahania się cienia. rumieniec na licu, w oku iskra miłości wybitna, ukazał się drużba prowadzący pannę młodą. Helszka biała z łzami na oku, z rozpuszczoną kosą. strojna w wieniec z rozmarynu, białe szaty owijające kibić składnie walczą o pierwszeństwo z białością jej szyi, spojrzała na Zdzisława i zapłonila się rumieńcem różanym, oj. to nie smutek na jagodach błysnął; to uśmiech radosny miłosny co przedarł się z pod łezki — dość Zdzisławowi tego uśmiechu: już teraz ani wspomnienie Olelka, ani wspomnienie Jadźwingów niezakłóci wesela goszczącego w sercu. Helszka upada do nóg Staroście ojcu, a potem Wojewodzie i o błogosławieństwo prosi; Starosta pobłogosławił ją ze łzami, Wojewoda uściskał czule i krzyżem świętym żegnał.

Starzy dwaj wojownicy uścisnęli się potem razem i wynurzali uczucia serdeczne.

— Bóg widzi, mówił Wojewoda, jako przyjaźń nasza z lat dziecinnych urosła, niepotrzebuje żadnych ogniów do silniejszego związania, aleć związki naszych dziełek robią nas jakoby braćmi, zda mi się że krwi waszej do serca biorę, Starosto.

Starosta rezolutny zawzdy i krotofilny, na tak czułą przemowę Wojewody stracił mowę, stracił pono i myśli, tylko affekt serdeczny uściskiem wrywa się, a tym uściskiem chciałby sięgnąć aż do serca. W takim przypadku już niemy starosta, dobył tylko puchar srebrnego, i nalewa go winem, podnosi w górę, a kiedy łza mu oko zakryła i ledwie widzi przed sobą panów braci koło: — «Rozmarynowy!» zawołał, do dna wychylił i podał Wojewodzie. Rozmarynowy toast obchodzi szybko do koła, druchny śpiewają, na panią młodą spoglądają ze łzami; dziwna też to, i czego płakać na weselu? — bo tak robią wszystkie kiedy za mąż wychodzą — płakała Starościna, płakała Wojewodzina, wszystkie płakały, chociaż kochały jak Bóg przykazał.

Orszak weselny stanął pośród kościoła, chórowy śpiew nabożny, organów brzmienie poważne — widok Boga i człowieka zarazem rozpięte-

go na krzyżu, Boga Rodzicy z dzieciątkiem i tylu świętych obrazów chowających pamięć zbawienia i odkupienia rodu ludzkiego. pamięć tylu cudów, jakimi Bóg musiał przekonywać lud niewierny że jest bogiem nie człowiekiem, usposobiły serca inaczej zupełnie. Zpośród uciechy myśl odrywa się nagle od ziemi, sięga w niebiosa i staje przed Bogiem rozważając znikomość doczesnego życia. Kochankowie zapominają o tym ogniu co rozpłomienia serca i tylko widzą przed sobą Zbawiciela świata i jego namiestnika co ma przyjąć ich przysięgi, że do zgony przechowają dla siebie miłość wzajem, miłość i wiarę. Serce mimowoli zastanowi się chwilę, ucichnie to bicie mocne przed chwilą i rozsądek szuka w duszy i pyta, czy znajdzie sił tyle, aby przez żywot cały zachować jedne uczucia, pierwsze młodości wrażenia?

Przysięgli.

Oj bo wtedy cnota w innej była sile, była ona bliższą natury, a z natury boskiej płynąc, związana silnym węzłem z matką rodzicielką, była miłością i prawdą.

Zdzisław stanął przed ołtarzem, i zastanowił się chwilę; dusza jego uniosła się w niebiosa do tronu prawego Boga; wspomniawszy sobie dzikość rodu Jadźwingów i ślub który stanął w sercu, je-

szcze pośród koczowiska. Teraz przed ołtarzem, gdy zrywa wszelkie stosunki z pogańskim wędzmem Olelkim, ślub ten Bogu czyni w świątnicy; szepcą go zeicha usta: «**Twórco Nieba i ziemi, Boże wielki!** ślubuję ci pogański ród mój, ród Jadźwingów podźwignąć z dzikości, z bałwochwalstwa! użyczaj mi łaski twojej o Panie— ja twoim natchniony duchem zasiewać będę ziarno, starać się będę o rozgłoszenie prawd twoich dopomagaj mi przedwieczny Panie — ja na to życie całe poświęcam!

Po chwili zabrzmiał organ, i pieśń chórowa—brzmiąca poważnie, wzniosła—pieśń przebrzmiała i cisza znowu w kaplicy.

Na zamku Starosty brzmi kapela huczna, polskiego rej powiódł z panią młodą Wojewoda, za nim puszcza się drużyna cała i po obszernych komnatach zawraca w prawo i lewo — aż trąby wojenne na krużganku znak dały do biesiady. Przy wysokim stole zasiadają państwo młodzi, Wojewodowie, Kasztelan, dalej stoły długie okala młodzież rycerska, dziewice nadobne i okoliczni sąsiedzi, drobni majątkiem, ale sercem i dłońią jak i starsi znaczeniem, również gotowi i dzielni. Toasty krążą do koła z rąk do rąk czary brzemienne miodem i winem przechodzą, burzą się małmazye, bakaljami wonnemi sy-

cone potrawy kurzą się dymem po stołach gnących się od srebra od złota. W miarę jak umysły rozochocają się, jak znika nierówności uczucie i coraz przyjacielskie wynurzenia płyną z serca, tak coraz więcej uciechy, radości. Przy gwarnej i coraz głośniejszej rozmowie czas płynie i słońce już ku zachodowi się skłania — ruszyły z miejsc ławy, przechodzi cała drużyna do komnat na tańce, a wnetci młodzież serca nabiera. Pani młoda z rąk do rąk taneczników przechodzi, aż w rękę pana młodego zostaje.

Jakże im pięknie było razem! Zdzisław z równianką wonnych kwiatów u pasa, Helszka z rozmarynowym wiankiem, a nad świeżą zieloność i kwiaty, piękniejsza świeżość ich lica.

Nieznajdziesz równej im pary na okolicę całą, mówił sąsiad do sąsiada, obadwaj starzy siedząc w kącie na ławie.

— Ha, toć i prawda panie bracie; jako na uciezce mołojec dziarski, tako i na wojnie gdyby iskra ognia na wietrze, gdyby sokół na skrzydłach z błonia w błonie szybuje, a wszędy gdzie bój najzawzięwszy tam on bić się musi.

— Co to znaczyło, Panie Jakubie, bo jać by nierozumiem tego, co znaczyło mówię to zniknięcie Wojewodzica wpośród bitwy z Litwą?

— Różnie o tem gwarzą ludzic, pewnego nie

niemasz, ale co widziałem na oczy własne to wam powiem. Oto gdy stanął przed Jadźwingami i miecza niedobył i kopii niepodniósł na pogaństwo. Stanął jak wryty, a oni go też pochwycili z koniem i uprowadzili w las głęboki. Dalej niewiem gdzie bywał. Wojewoda martwił się co prawda jego zniknięciem, a gdy do domu zajechał znalazł zdrowego i całego Zdzisława. A co dziwniejsza, nieodarto nawet z bogatej zbroi mołojca, bo w tym samym przyborze w zeszłej u kasztelana występował gonitwie...

— I cóż to może znaczyć Panie sąsiedzie?

— Ha, mówią ludzie, ba i głośno mówią że... ale co tam baśnie ludzkie powtarzać!..

— Co mówią? powiedzcie Panie bracie!..

— Że Zdzisław Jadźwingą, czemu ja niewierzę, bo ani obyczaj ani ciała układ i cera niepodobne Jadźwingom...

— Aha... takcito i ja słyszałem coś.. tak.. dawne to czasy.. no, ale to pewna że Zdzisław jest wnukiem Wojewody rodzonym, i dlatego przybrał go za rodzzonego syna.. znalazłszy go przy zwłokach córki.. Bożeny... oj to pamiętam, pamiętam to wybornie.. Wszakże i wy byliście na owej za Leszka Czarnego na Jadźwingi wyprawie?

— Tak, tak, byłem i baczę to jeszcze, aleć

to człowiek tak już nawykł zwać go Woje-
wodzicem że i wzwyczaiwszy się, zapomniał
o jego rodzie pogańskim... ba dawnećto czasy...

— Jakkolwiek co mówimy to nas do rzeczy
nie prowadzi... Bo to zawsze odważny tyle..
stał jak wryty przed obliczem pogan; miałże
by stracić serce?

— Oj tego znowu niemówcie Paunie bracie..
czyliż nie pamiętam tyle łowów, tyle bitew w
których zawsze Zdzisław był Zdzisławem, dziel-
nym i odważnym mołojcem..

— A przecież nieuderzał na Jadźwingów..

— Baj bardzo... niewiem gdyby wam też przy-
szło dostać się między Litwę — a potem z poga-
nem idąc na wojnę niespodziewaną, i znaleźć przed
sobą Polaków braci, ojców, powinowatych.. nie-
podobna bratniej krwi przelewać... tegoby nikt
nieuczynił z ludzi... chybaby wyrodek jaki..

— Jeśliby tak, to znowu być może.. taką rze-
czą.. wszakże my, niewiedzieliśmy o tem dotąd
aby pomiędzy Jadźwingami znalazło się tyle
silnych ramion do boju.. mówią nawet że jesz-
cze nawet i kraj posiadają mały.. niewiedzieliś-
my mówię o tem... z kądżeby Zdzisław, co ich
nigdy niewidywał.. poznał do razu Jadźwingów
na polu bitwy?

— Bywają różne przeczucia.. a przecież sły

chać było krzyki na polu bitwy — « Jadźwingowie! Jadźwingowie!» taki dźwięk złapał do duszy i poznał tych których niewidział nigdy...

— Co bądź to bądź, Zdzisław jest dziarski mōłotem, tego mu ująć niemożna.

— Ale... Jadźwinga...

— No i cōż wielkiego!...

— Ród pogański..

— Baj bardzo! wszakże on chrześcianinem, a pono i nasi przodkowie poganami byli...

— Bajki, bajki, panie bracie! konfuzya!...

— Jaktō bajki?..

— Dziada pamiętam, rodzica pochowałem i waszych pamiętam: wszyscy byli prawowierni katolicy, służy Boga pociwi...

— Ba! nie mówi się o tem — ale dawniej aż jaktō mówią za Popielów Piastow ..

— Niepozwalam, nieprzystaję na to.

— Tak uczą mądrzejsi od nas, powiadał mi to Ojciec Bonifacy proboszcz...

— Chyba że proboszcz mówił... aleć pan rodzic niewspominali mi nic o tem...

— I mnie mój niewspominał, toć tam u niego łuki i szabla dobra całe były nauki; ale co proboszcz świętej pamięci Bonifacy prawił, toć wierzył temu święcie ..

— I ja wierzę .. ale musiało to być bardzo dawno?..

— Trzysta lat temu obeszło...

— Wistocie... ho! ho! to dziad i pradziad i ojciec pradziada nieżyli jeszcze wtedy...

— O, zapewne.. bez wątpienia.

— Rodzic mój prawił zawsze że nasze chrześcijańskie szlachectwo — a sięga ono przodka, co był prawowiernym katolikiem — Wojewody jednego z tych dwunastu co rządziłi Polską... był to sławny Wojewoda, dawno to dawno, pradziady nie pamiętały go już nawet, ale rodzic wzdychał ze to chrześcijański klejnot nasz szlachecki a sięga owego prawowiernego Wojewody!

— Wszystko to czasy dawne: mamy i my wiadomość w naszym rodzie o Bartłomieju co dostał od Chrobrego na pomorszu *kastellum*... takcito był pierwszym kasztelanem.

— Bywali, bywali panowie wieley w każdej familii, taki i człowiek przy większej chudobie zyskałby u ludzi więcej poważania ..

— Poważania... bum... jamci nie poganin... a niezowią mnie Wojewodzicem... nie zrobią mnie Wojewodą... hum... Jadźwinga!...

— **Baibardzo! ksiądz Proboszcz mawiał że to każdy ród sławny miał swojego ojca, co dawał imięncowi sławę na potomność długą... a mówił to że lichy człowiek kupi sobie, krwią szafując na poganach, kupi i łaskę u Boga i klejnot u ludzi... taki Zdzisław już rycerzem ..rycerzem passowym przez Książęta na Mazowszu.. Ksiądz proboszcz mówił:**

— **Ha, jeśli tak mówił ksiądz proboszcz, wszakże to w świętej głowie i rozum większy i nauka.....**

— **A! już oczepiny!**

— **Toć i biesiadzie koniec niedługo.**

— **Kapłan święci oblubieńców łoża.**

— **Będzie i toast jeden i drugi na dobranoc.**

Panna młoda kryje się między druchny, okalają ją dziewice towarzyszkę młodości — próżno swachny namawiają, proszą, aż podstępem chwytają i do komory wiodą, dziewczęta płaczą, płacze panna młoda rzesistej kosy co ją traci -- a goście podochoceni śpiewają chórem i pojedynczo...

Zakukała kukułeczka na dąbku, *)
Zapłakała młoda Helszka już w rąbku.
Zapłakała Helzusinka na dzieży,
Siedzi kukułeczka na wieży.
A cóż ci dziewczyno cóż ci to,
Ze cię w ten rąbek uwito?
Nicci mi družbowie, nicci mi,
Bo mi w tym rąbku najmiliej:
Takem sobie zapłakała,
Żem już panną być przestała.

Roztworzyły się drzwi komory, wyszła panna młoda w złotym czepcu do gości i łzami oczęta miała zroszone, wianeczka z rozmarynu już na głowie niewidać, kędziorów kruczych i długiej kosy niedojrzysz. Prowadziły ją swachny, prowadziły do ojców, błogosławili ją ojcowie; prowadziły do krewnych, krewni obsypali darami; prowadziły ją do przyjaciół, a przyjaciele upominkami bogatymi obsypują.

*) Wszystkie te pieśni wyjęte są ze zbioru K. W. Wojcickiego (obacz pieśni weselne Kurpiów).

Gdy zaś staęła pomiędzy druchnami, zapłakały druchny, zapłakała i ona z niemi; one uściśnęły ją z kolei za kolana jako już poważną mężatkę, a ona ścisnęła wszystkie i zapłakała z każdą. Bo to stracić swobodę, oddać wianeczek miłemu, toć już zabawkom dziewczycym koniec!

Młodzi towarzysze pana młodego z puhanami w rękach śpiewają na przekór dziewczęcym żalom, śpiewają chórem wesoło:

„Moje dziewczę, moje złoto,
Porzuć wianek teraz w błoto:
Rzuć wianek a włoż czepec,
Bo już czeka na cię chłopiec.

* * *

Siedzi za stołem dziewczątko,
Patrzy gdyby niewiniątko:
Oczki jak sokoły patrzyły,
A lzy jak rosa padały.

* * *

Ach urodoż moja niemita,
Gdzieżeś ty mnie zgubiła?
Jak rybkam sobie bujała,
Żadnego kłopotu nieznała.

* * *

Teraz rozkazać czeladzi,
I samej robić niewadzi,

I wianek oddać miłemu,
Zdzisławowi memu!"

Już uściskała wszystkie z kolei, pożegnała się z wszystkimi; radaby zostawać na wieki dziewicą, radaby nieznac i czepca i Zdzisława nieledwie, bo tak smutno wspomnieć sobie że dla tego Zdzisławka straciła wszystkie wesele, wszystkie dziewicze uciechy... spogląda po druchnach Helszka litościwie, ale swachny pod ręce ją wzięły i zaśpiewały razem:

„Pójdźcie druchny waszą drogą,
Zgubiłyście pannę młodą.
Idźcie druchny wilczą steczką,
Już niebędziecie z dziewczeczką.”

Już znikła w komorze Helszka, niedojrzysz w komnacie żadnej Zdzisława, już on tam czeka na żonę, czeka na drogą kochankę. Słychać jeszcze odjezdny toast strzemionowy, słychać i pieśń

młodzianów weselnych dającą znak do odjazdu
drużynie;

„Narządzajcie belki w kalinowym moście

Bo tędy pojedą Zdzisławowi goście.

Leci koniczek

Przez pastewniczek,

Nózkami przebierając;

Płacze Helżusia z za stołu wstawając.

Niełamcie się belki w kalinowym moście,

Bo tędy pojedą Zdzisławowi goście.”—

Cicho do koła zamku, światła pogasty, i w zam-
ku gwary umilkły, tylko w jednej komnacie, w ko-
mnacie niewiem czyjjej, dosłyszałybyś tajemnej ci-
chej rozmowy.

— O luba! mówił głos męzki, jakże ja byłem
nieszczęśliwy jeszcze w jesieni, jeszcze w zimę;
ja niemogłem żyć bez ciebie, a ciebie posiadać,
trzeba było sławy i rodu...

— Nic mi po sławie, nic mi po rodzie, ja mam
Zdzisława, to mi dość...

— O najdrosza!... najmiłsza... tyś moja, moja
na wieki!...

Wiatr co szumiał po sadzie zabierał słowa
płynące z komnaty, zabierał, to przynosił brzęk

miły dźwięczny — niby to pocałunek... a pocałunek słodki bo miłosny, i znowu szum wiatru rozrywając wątek rozmowy zostawił tylko po słów kilka:

— Więc ty mnie niekochasz Helszko?..

— O najdroższy, kocham cię...kocham.. ale miej dla mnie litość ..

— O, ja nie wierzę abyś ty mnie kochała...

— O najdroższy !...

— Helszko...

— Zdzisławie!

Tak mięszały się głosy, ucichnęły nad rankiem, i jedna spokojność w zamku całym gościła. O przeszłości głęboka! o wy minione wieków dziesiątki! jakże wychowywaliście wasze dzieci. Mąż zbrojny mieczem kraju broni, mąż pługiem porze niwy — mąż domu panem i królem! Kobieta zaś wdzięków zebranie, ideał piękności serca i ciała — ona zamknięta przed światem — zamknięta przed wolnością — żyła dla męża, dla synów, dla córek!... A wy kobiety, anioły cichości, co znajdowałyście rozkoszy i uciechy dosyć w małżonku i w rodzinie — jakiegoż wam uwielbienia dosyć? Jabym wam stawiał ołtarze jak bóstwom — bo w was cnota była boska... Dziewica z sercem czułem, z uczuciami samą tchnącemi słodyczą — wzrastała dla tej ręki co po wianek sięgnie. Ta-

ka i Helszka— cicha, powolna, dzisiaj straciwszy uciechy niewinne dziewicze, wszystkie uczucia zbiera; wszystko zamienia w jedną dla Zdzisława miłość, by mu więcej rozkoszy więcej dać szczęścia

Już słońce złoci niebo i okienkiem zajrzało do komnaty nowożeńców i zbudziło ich ze snu. Helzka w objęciach Zdzisława roztwiera oczki żywe, namiętne, wesołe jak rumianny kwiatek gdy na nim zielone pękają obłonki — te oczki znajdują Zdzisława, Zdzisława co ją ściska, wnet i jej rączki zawisły na licach kochanka miłośnie, pieszczono. Złoty pocałunek, już nie westchnienie, nie łezki... O jak to błogi, luby, miły pocałunek kochanki! — W tem wiatr szumiący po sadzie przyniósł do komnaty odgłos niby świstnięcia głuchego, niby syku węża — zerwał się Zdzisław co żywo, pobladł na licu — aż znowu coś usłyszy, a Helszka przelękciona nierozumie co to ma znaczyć?

7.

— Cóż to, cóż to najmiłszy?... co tak patrzysz, tak słuchasz? spytała przelękniona Helszka.

— Nic, nic... już poranek biały... zaspaliśmy długo, już w dziedzińcu gwar i hałas...

— Nie, nie, najmiłszy! mnie zdaje się że cicho jeszcze.. nic nie słysząc, zdawało ci się chyba... to słońce dopiero co weszło, jeszcze czerwienią się chmurki na wschodzie... a teraz wiosna.. dzień wczas poczyna się bardzo... czy mnie już chcesz opuścić?

— Czas już, czas, Helszko miła... szydziłoby zemnie że zostawszy mężem przestałem być ry-

cerzem... zaniechałem dawnych niewygód i trudów...

— O jeszcze w zamku cicho, mój rodzic wstaje zawsze pierwszy... jeszcze jego niesłyszać.

Tu znowu słyszeć bliżej jeszcze okna niby głucho świstnięcie, niby syk węża. — Zdzisław go tylko dosłyszał, zrozumiał, i zrywa się z poscieli, znika z jego twarzy rumieniec, oko zdumione, a serce bije, dreszcz przebiega całe ciało.

— O najdroższy! ja widzę że tobie coś niedobrze... ty słaby... co znaczy ten niepokój na czole? co znaczy ta bladość twarzy?

— To nic, nic moje dziecię — tak, słabo mi cokolwiek, chciałbym wyjść na chwilę do sadu, świeżem odetchnąć powietrzem — rano zbudzi się drużyna, rano powitamy gości — ja chciałbym...

— O nie, nie, ja cię nie puszczę — ty mnie nie opuścisz Zdzisławie — chyba że mnie już nie kochasz?... Nie odchodź, nie odchodź luby...

— Kocham cię, kocham nad życie, powrócę do ciebie za chwilę — pójdę... powrócę — puść mnie, puść o najdroższa...

Białe rączyny Helszki zawisły na szyi Zdzisława, on ją ścisną, całuje i prosi:

— Puść mnie moje ty złoto — ja za chwilę ma-
leńką powrócę wnet do ciebie... zaklinam cię i
proszę... proszę cię i zaklinam.

— Puszczę cię, puszczę Zdzisławie, ale po-
wrócisz jeszcze — oj bo ty dla mnie najdroższy,
jeden już tylko na świecie — ja nie mam towarzy-
szek, ja nie mam innej zabawy, uciechy — jak
tylko kochać i pieścić się z tobą mój luby.....

Widział ty jak one wczora płakały razem ze
mną i mnie bolesno było... bo chociaż kochałam
ciebie żal towarzyszek młodości z którymi wy-
chowywałam się razem — a one odtąd już zda-
leka odemnie — poważają jak starą matronę... oj
to smutno mój miły... stracić przyjaciół-
ki.....

I z oczek Helszki łezki dwie jak perełki spada-
ją — rączęta białe rumieniec zakryły, a Zdzi-
sław niecierpliwy, na ten widok zapomina o
tem hasle co go wzywa do sadu, zapomina o
całym świecie i tuli do łona pieszczoną powolną
jak dzieciątko Helszkę — okrywa pocałunkami
i mówi:

— O mój ty kwiatku najmiłszy, nie będzie to-
bie smutno bez towarzyszek .. chyba że mnie ko-

chać przestaniesz to serce do tych zateśkni których kochało dawniej — ale ja zawsze najmiłsza dla ciebie żyć tylko będę...

— Ja ciebie kochać nieprzestanę — ale Zdzisławie mój luby, niewidziałam nigdy takiego niepokoju na twem czole... cóż tobie? powiedz co tobie?... jeżeliś słaby — poskoczę do mojej matki, ona ma różne zioła, maści, kadzidła, kropelki — przyniesiemy wszystkiego — wnet cię poratujemy... powiedz mi, powiedz najmiłszy, ja widzę że ty tak blady.

— Nic to, ta bladość; lica; mało spaliśmy bardzo... i ztąd lica poblady.

— A ten niepokój na czole?

— Żadnego... żadnego niepokoju...

— Twoje oczy?

— Wszystko to nic dziecię moje, ale puść mnie na chwilkę, przebiegnę sobie chodniki cieniste, przez wał zamkowy... ha to i rumieniec wróci, zobaczysz! puść mnie na chwilkę, zaklinam cię moja luby.

— A więc już idź mój miły, a tylko powracaj prędko... Helszka cię tutaj czeka, czeka niespokojna.

— Powrócę.. zaraz powrócę.

Zdzisław wyrwawszy się z objęć nadobnej Helszki, zarzuca szybko odzienie na siebie i do

sadu wybiega. Stał na wzgórku za drzewi-
ny gestwiną — ogląda się do koła, drżą mu ręce,
blady jak chusta. Ledwie po długiej chwili zdo-
był się na tyle siły aby dał hasło — w tenże
sam sposób jak je odebrał przed chwilą. Swi-
śnięcie jego pochwytyły echa i poniosły od drze-
winy do drzewiny — a potem cicho, aż głucho.

Poranek co wiosennymi krasami bawił każde o-
ko, nie przejął uwielbieniem piękności swojej
Zdzisława, bo Zdzisław niespokojny toczy o-
kiem dokoła, jedno tylko spojrzenie znaleźć chci-
wy — a czekał niedługo, wnet zobaczył przed
sobą Olelka z zagniewanym czołem i zadrzał.

Olelko nie miał na sobie szat poważnych barda
jak dotąd zwykle pojawiał się między Lachami, nie
miał liry przy której dźwięku śpiewał o zniszcze-
niu Jadźwingów, Zdzisławowi — ale obyczajem
Jadźwingów w niedźwiedziej odzieży, z łukiem
i sajdakiem na ramieniu, maczuga w ręku, nóż
długi za pasem, ze skór bawolich tarcza w rękę,
na głowie płaski okrągły szyszak z czaplemi
pióry. Ni to odzienie pogańskie dzikiego kniei
mieszkańca ozdabiające: ale spojrzenie Olelka
jeżeli dawniej przy barda sukni i lirze wydało
się czasami natchnionem, jeżeli malowało unie-
sienie, tej chwili sama w niem dzikość, sam gniew
na czole, powaga jędrna, niezłomna dusza, zda-

jąca ukazywać się szramami oblicza, co rozognione bardziej czerwienią na żółtawej cerze zdaleka, tak niebył groźnym nawet na polu bitwy Olelko. Zdzisław jak wryty, nieruchomy, blady, krokiem niepostąpił ku Olelkowi — jak zawsze wybiegał na jego spotkanie by go uścisnąć, nieuczyił tego w tej chwili. Bojaźń niewidzialna cofała go od Olelka.

— Witaj mi Zdzisławie, ryknął Olelko tonem grubym, tłumionym, tym groźniejszym od zwykłej cierpkości. — zapewne długo czekać ci było na Olelka....

Zdzisław milczał.

— No, jakże? nicze mi nie odpowiesz? tak dawno niewidzieliśmy się z sobą.... a chwilka na polu bitwy, zaledwie na jedno spojrzenie starczyła... No, co teraz, to nierozłączymy się z sobą... odtąd zawsze razem...

— Jakto, Olelku?

— Już możesz bezpieczny stanąć pośród Jadźwingów; potrzeba ci tam wcześniej stanąć, bo gdy kto władać chce nad ludem, zawczasu skarbić sobie winien serca jego....

— Serca ludu?!... Alboż Jadźwingowie mają serca?...

— Ha, rozumiem co mi chcesz mówić — skrzywdzili cię, nieznając — przepraszali i ko-

rzyli się ustóp twoich gdy dowiedzieli się że z krwi Peruginów pochodzisz. Twoja w tem wina — nie trzeba było odsyłać dodanych ci dla bezpieczeństwa młodzieńców....

— To prawda .. moja w tem wina... ale gdybym był nieoddalił od siebie tych młodzieńców chciwych boju.... gdyby mnie byli nieskrzywdzili Jadźwingowie, byłoby przeto ich serca mniej okrutne?...

— Zle uprzedziłeś się Zdzisławie o Jadźwingach, a musiałeś przecież widzieć ich na polu bitwy, a może i walczyłeś z nimi...

— O nie! Bądź pewnym Oleku że niepodniosłem ręki na krew bratnią, nie zabiłem żadnego, bo pierwszego spotkałem ciebie..... a tyś mnie pochwycić kazał..

— Bogom na niebiosach dzięki! Ocaliłeś się od zmazania rąk krwią rodaków..... ale Zdzisławie winnym jesteś i tak wiele .. Niczem to wszystko, puszczam wzapomnienie twoją płochosć dziecinną. Czas tobie wrócić pomiędzy rodaków, zrzucić z siebie postać obłudną — wzgardzić obyczajem i wiarą rodu twojego nieprzyjaciół.... Uprzątnąłem wszystkie zawady, powracaj więc do ziemi twoich przodków.....

— Ja mam powracać do ziemi moich ojców? zrzuciwszy z siebie wszystkie nauki Chrystusa,

wszystkie prawdy — bić czołem bałwanom razem z wami?! O! nie, Olelku. Ja powziąłem myśl, uczyniłem ślub Bogu... tak, ja powrócę między Jadźwingów ale z słowami wiary i zbawienia.

— Cóż ty rozumiesz, młodzieńcze?... co znaczą twoje dziwaczne słowa i dziwaczniejsze jeszcze wahanie się twoje? .. Zda mi się że to wszystko skutki oczekiwania długiego, i w tym błąd sobie przyznaję... ale postanowiłem naprawić wszystko a nawet pamięć złego zatrzeć nazawsze. Niezmarnuję dłużej już chwili i jednej nawet... już lat szesnaście... oj to zawiele... Wracajmy Zdzisławie, gdzie powinniśmy być zawsze — a tu nieinaczej jak z mieczem w ręku... Pójdziemy za Bug, za Niemen... już sprzymierzyliśmy się z Litwą, dali nam książęta dzierżawy — lepiej tam krwi bratniej panom hołdować, jak tutaj popaść w Lachów jarzmo.

— Za Bug, za Niemen, tam wszędy lasy głuche, tam wszędy ludzie dzicy... nigdzie tam prawego Boga nieślawią.... a jam Chrześcijanin....

— Chrześcijanin? i cóż ztąd? nieprzestałeś być przez to Jadźwingą, synem Komiata, synem Peruginów... i zrzekłszy się Lackich obyczajów, ofiarami przebłagasz rodzinne Bogi... i zacznie-

my wielkie dzieło zemsty na wrogach co ród nasz wytępił dzielny, położemy kres...

— Olelku, próżne twoje zamiary! I ja tak miałem w sercu: tak mi bolno było słyszeć o klęskach Jadźwingów i żyć z Lachami, co kres naszej polki żyli potędze, ale gdy poznałem słabość sił naszych, a tē samem niepodobieństwo odzyskania dawnej niezawisłości dzielnej—gdy rozpatrzyłem się w krzywdach barbarzyńskich przez naddziadów moich wyrządzanych Polakom — kiedy rozmyśliłem sobie wielkość Boga czezonego przez Lachów, już teraz nie tak mi żądza zemsty dokuca, widzę w Lachach....

— Twoich, ojców, braci pomordowanych okrutnie! krzyknął Olelko pieniać się od złości.

— Nie, nie, ja niewidzę morderców; ja widzę tylko krzywd swoich mścicieli... bo oni cierpieli przez lat tyle... wydzierali im Jadźwingowie krwawo zapracowany dobytek...

— Po co te wspomnienia? Powiedz mi Zdzisławie czyliż starać się powinniśmy o to, aby wykryć ojców błędy, potępić — czyli też zasłonić i wykorzenić?

— Oj nie rozwodzę ja szeregu błędów, szeregu okrucieństw spełnianych przez moich przodków; ja tobie mówię Olelku, a ty ich znałeś, a ty sam to czujesz, bo twoje serce przez obcowanie

z Lachami lat wiele straciło dawną dzikość i czuje coraz więcej godności, coraz więcej człowieczeństwa w sobie...

— Wiem ja, wiem czem jestem, wiem jakimi byli przodkowie moi.... dość tego mój synu, czas nam w drogę! Olelko bezpiecznym tu długo być niemoże...

— Jakto, ja mam opuścić te miejsca udając się z tobą nazawsze między Jadźwingów?

— Tak, po ciebie przychodzę... według obietnicy... powrócisz między twoich rodaków...

— O nie, ja teraz niewrócę pomiędzy Jadźwingów, ja tam zawitam, ale na czele kapłanów Chrześcijańskich z krzyżem i prawdą — z Bogiem i cnotą!...

— Z jakim Bogiem? z jaką cnotą? Jadźwingów Bóg, wielki Perun, Pekole, Ziwa, Mażanna; Jadźwingów cnotą bić Lachy, mścić się na nieprzyjaciolach swojego rodu... krew ich chłptać — jakąż ty masz cnotę, jakiego Boga chcesz przynieść?...

— Boga co dał umęczyć się na krzyżu zstąpiwszy na ziemię w postaci człowieka, Boga co cierpiał za nas i umarł na krzyżu. Zaniosę Jadźwingom pokój, miłość bliźnich i zgodę. — Kapłani Chrześcijańscy wyświecą im fałszywe wajdelotów — ogłoszą słowa pokoju, nauczą składać

prawemu Bogu ofiary z chleba i wina, bo Bóg prawy niechce krwawych ofiar, tak jako brzydzi się zemstą i wszystkimi uczuciami co zwierzęcą dzikością tchną w człowieku...

— Któż ciebie prosił o takie dla Jadźwingów łaski?....

— To mi nakazuje mój Bóg...

— Twój Bóg!

— Tak... i posłucham głosu Boga...

— Ha, niecnoto, ty Boga mieszasz z twojami zamysłami, czy rozumiesz że niewiem co ciebie wiąże z Lachami? O! ty mnie nieoszukasz! Zaślubiłaś Łaskę co oczarowała cię wdziękami swoimi, i dla nich to gardzisz chwałą naddziadów twoich...

— Chwałą naddziadów?., Ach Olelku, ja inaczej jako chrześcijanin pojmuję co to jest chwała... okrutne mordy barbarzyńcom chwały nierobią ale hańbią ród ludzki.... mordy... pożogi... rabunki...

— Mordy? pożogi? rabunki? I cóż ty rozumiesz... co to są ludzie? Czyliż człowiek jak wół ma głowę wprzódz w jarzmo — i grzebać w ziemi dla wygrzebania kilku ziarn na kawałek chleba? Jadźwingowie zawsze byli ludźmi, byli mężami, a mąż zasiewa mieczem i mieczem zbiera!

— To barbarzyństwo!

— Zdzisławie, dość tych niepotrzebnych uwag. Porzuć niskiego rodu Laszkę i ze mną w drogę! — Porzuć fałszyżę jakimi owili cię Chrześcijańscy kapłani... Jadźwinga zna tylko Boga Peruna najwyższego — Jadźwingów cnotą męztwo i waleczność w boju — Pójdź ze mną!

— Nie Olelku, nie pójdę, nie opuszczę Helszki, nie opuszczę prawego Boga!

— Zdzisławie, wieszże ty kim ja jestem?

— Jesteś podobno wodzem Jadźwingów....

— Rozkazuję ci jako wódz Jadźwingów — pójdź ze mną!

— Nie Olelku, nie ulegam Jadźwingów wodzom. Olelko rozdarł tój chwili odzienie i ukazał pierś swoją Zdzisławowi, pierś zoraną bliznami, a nad bliznami było godło Komiatów.

— Zdzisławie, wiesz co to godło oznacza?

— O nieba!... byłżebyś ty moim ojcem Komiatem?

— Tak, Zdzisławie, jestem Komiat, poznali mnie już Jadźwingowie, i ukorzyli się przed krwią Peruginów którą zniewałyli. Synu mój, synu, poznaj i ty Komiatu co dał ci życie...

— O mój Boże.... i ja lat tyle niewiedziałem o tem! Tu Zdzisław upadł w objęcia Komiatu i ścisnął ojca. Komiat łzę uронił. Łza upadła na czo-

to młodzieńca, ale jeszcze nie wszczepiła dzikości pogańskiej w jego serce...

— Synu mój, wołał Komiat, szesnaście lat czuwałem nad tobą! zaledwie usta twoje umiały wymówić jedno słowo — nauczyłem je wymawiać imię Jadźwingów! Zaledwie serce czuć umiało, wszczepiłem w nie zemsty uczucie — śpiewałem ci synu pieśni Jadźwingów, opowiadałem ci Komiatów sławne czyny.... Zdzisławie, szesnaście lat poświęciłem dla jednej nadziei — że krew Peruginów powrócę Jadźwingom, że cieniem pobitych zyskam na mściciela Komiatów dziecię! Opuściszże ty mnie mój synu?... Pogardzisz Komiatem co tyle robił dla zyskania twojego serca?... Wzgardzisz ty Jadźwingami?

— Ojcie!... jam nieszczęśliwy!

— Niemasz szczęścia dla Jadźwingów dotąd, niemasz go od lat dwudziestu... my wszyscy nieszczęśliwi, masz więc gardzić nami dlatego żeśmy nieszczęśliwi?

— Ja tobą niegardzę Olelku.... ty jeden... O gdyby takimi byli Jadźwingowie wszyscy!

— Synu, a więc uczyń prośbom moim zadość! Porzuć Laszkę i pójdz za mną!

— Ojcie! to niepodobna... porzucić Helszkę wyrzec się Chrześcijańskiej wiary, prawego Boga porzucić... to niepodobna!...

— Zdzisławie, tobie niepodobna wyrzec się obcego rodu wiary... a ja wyrzekłem się samego siebie dla ciebie, wyrzekłem się Komiatów dumy, dla ciebie... oj — bo mnie drogą pamięć Bożeny... Wiedz synu że nie tak okrutni Jadźwingowie jak rozumiałeś... Wiedz o tem że ja zabójcy mojego ojca darowałem życie — przebaczyłem je Wojewodzie ojcu Bożeny, żyłem z nim lat szesnaście... synu! przypatrz się co ja poświęciłem dla ciebie... ja nawet cieniem ojca nieuczyniłem zadość!!! Był nieprzyjaciel mojego rodu między Jadźwingami, był to Lut krwi cheiwy, ja przebaczałem i jemu, lat dwadzieścia milczałem znosząc moje krzywdy, poświęcając je dla pokoju Jadźwingów, dla szczęścia twojego!!! Synu! nieodpłaciszże mi tyloletniej pracy, długu natury?

— Ach ojcze, tak niepodobnej żądasz odemnie ofiary! Ja Boga nie mogę się wyrzec, ja ślubów moich niezłamię!!!

— Rozkazuję ci jako ojciec, uczyn to!

— Niemogę — Bóg w niebiosach, Bóg patrzy na ludzi sprawy — ja nieuczynię tego!

— O synu wyrodny — i ty nazywasz dzikimi barbarzyńcami Jadźwingów — zaprzeczasz serca Jadźwingom — niejestżeś ty głazem zimnym w porównaniu z nimi? Jadźwinga dla ojca odda życie... a ty, co niby Boga czcisz pra-

wego, powiedzże mi maszże ty serce..... kiedy nieczujesz żadnych obowiązków dla ojca, nie uznajesz żadnych jego poświęceń? Maszże ty serce potworo? Rozkazuję ci, porzuć Boga Chrześcijan, porzuć Lachów, Laszkę żonę i wracaj pomiędzy rodaków!

— Niepodobna! Wiedz rodzicu mój, to moje ostatnie postanowienie — nie uczynię nic z tego — ty chyba ojcze porzuć pogaństwo — pokrusz bałwany i pomóż mi do oświecenia mojego rodu — narodu Jadźwingów.....

— O błuźnierco! wykrzyknął Komiata przewracając oczy dziko, wykrzywiając usta szalenie, jak gdyby w sercu we wnętrzu najokropniejsze toczyły boleści zgryzoty. «*Bożeno!*» wykrzyknął znowu — «*Perunie!*» — «*Jadźwingów wielki rodzie wygubiony — Rodzicu mój! Wam uczynię zadosyc — wam ofiarę sprawię — waszym ceniom!*» — O synu, krwi moja!.... do czegoż mnie ty przywodzisz?... Synu, posłuchaj mnie póki czas!....

Zdzisław stałym wzrokiem spojrzął na Komiata i wyrzekł: «*Nie!*»

— A więc giń potworo! synu wyrodny! Idź na pastwę piekłom! Niechaj giśnie wyrodny syn, wyrodny Jadźwinga! Perunie wielki, spojrzij na mnie i zobacz że prawom twoim, czeni

twojej czynię zadosyć! Giń wyrodny synu —
giń z ręki własnego ojca!

To mówiąc nóż pochwycił i nim Zdzisław
przerażony zebrał myśli — Komiata do wście-
kłości przywiedziony uderzył go w piersi — tra-
fił w serce. Upadł młodzieniec — i okiem tyl-
ko tak spojrzął szybko, żywo, chciwie, doko-
ła, jakby tysiące spraw ziemskich jednej chwi-
li chciał załatwić jeszcze — zobaczyć Helszkę,
nową swoją rodzinę, spełnione śluby — fun-
dament założony swojemu imieniu na potomność
długą. Spojrzął potem na Komiata i znikły
z myśli wszystkie marzenia — została już tyl-
ko życia chwilka i siły dosyć na wymówie-
nie:

— Tyś Jadźwinga!...

Usta i muskuły twarzy niezdolały już odbić
uczucia goszczącego tej chwili w duszy, uczu-
cia co wybić się chciało w jednem słowie...
już skonał.

A Komiata zapieniony wlepił wzrok w ofia-
rę swojej zemsty — w trupa własnego dziec-
cia, obraz Bożeny co go poświęcił dla cieni
przodków.... Drżały mu usta, trząsał się cały —
krew chciała starymi uderzyć bliznami — a co w
sercu co działo się w duszy!!!

— Zdzisławie!... Zdzisławie!... gdzie ty je.

steś... pójdz do mnie!... pójdz do Helszki!...
czy ty mnie już nie kochasz?

Głos brzmiał gdzieś w cieniu drzewa, zbliżał się coraz, aż około Komiat i zwłok Zdzisława dał się słyszeć. ... Komiat go niesłyszał.

— O nieba!... krew!... zabójca!... Zdzisław zabity.... Ratujcie!... ratujcie!...

Na krzyk Helszki rozbudził się z zadumania Komiat, nadbiegli domownicy. Odskoczył Komiat od trupa, stanął na okopie sadu i krzyknął do zgromadzonych około zwłok Zdzisława:

— Ha Lachy! jam Olelko, jam Komiat Jadźwinga!... Zabiłem syna co przeniósł wasze Bogi, waszą córę, nademnie, nad Jadźwingi, nad Bogi Jadźwingów. Z ojca własnego zginął dłoni — zemściłem się na wyrodku niewiarze!!!

Zanim domownicy zebrali myśli i puścili się za Komiatem w pogoń — już on zginął w głębokim zarosłym wąwozie, co w dzikie prowadził pustynie, Jadźwingów niegdys dziedziny.

ZAKOŃCZENIE.

Cóż wam więcej powiedzieć o Jadźwingach?

Na tym świecie gmatwa się wszystko dziwacznie. Upadają pokolenia, narody i ludy wielkie, zchodzą z wielkiego widowiska — jakie nam przed oczy stawia historia. Wszystko gaśnie, wielkość i sława i serca czule i serca zimne i dusze wzniosłe i dusze poziome — w dziwacznym mieszając się chaosie, wytwarzają myśl nową, myśl ogólną, jednoczącą w sobie całe dziwactwo wielkości i nicości. — Pieśń życia przebrzmi i

nowa pieśń pogrobowa zajęknie na ruinach, niby to echo ostatniego skonu, co wybija w sobie całą przeszłość — całe życie narodu. Na ruinach starego grodu wzuosi się nowe miasto, a ludzie co wzięli życie od dawnych naddziadów, roznoszą się znowu — wznoszą coraz dzielniej, coraz wyżej, by znowu razem popaść w żelazną dłoń czasu.

Jadźwingowie po ostatniej klęsce za Leszka Czarnego straciwszy kwiat młodzi, wybór wojowników, jedni zmieszali się z ludem zwyciężkim i przychodniami z Rusi — drudzy przeszli za Niemen i z Litwą połączyli się nazawsze — a ich imię i cechy rodowe zlane w obcą masę zginęły w rzeczywistości, zostawiając po sobie tylko wspomnienie.

Co zebrałem w starych dziejopisach o tym ludu, starałem się streścić w duszy i wypiętnować w charakterach przedstawianych czytelnikowi — ów hart duszy leśnego mieszkańca, nieugiętość, waleczność godną podziwu jaką przyznają im sami nieprzyjaciele. Dziś i cieniu po Jadźwingach nieznajdziesz między ludem, żadnego po nich zabytku, bo Jadźwingowie byli dzikszymi od Litwy w owym wieku.

Z ich obyczajów, z ich życia, nic nie doszło aż do nas po szczególe; nawet z panujących tam

książąt znamy tylko imię *Komiata* jednego w dziejach. — Sąsiedztwo bliskie, współnictwo w łupieżach, naprowadza przekonanie że Jadźwinkowie tak w obyczaju, mowie, jak religii byli zupełnie z Litwą pokrewni. Sąsiedztwo Słowian nie było także względem nich bez promieniowania — musiało zatem wybić się w ich narodowym życiu przejście z fantazyi Litewskiej do Słowian a to w zmięszaniu religijnych idei i obyczajów. W takim razie wolno mi było puścić wodze fantazyi opartej na tem co pochwytałem ze stron różnych, a podobno że fikcyja przeważyła fakta historyczne.

Kto z czytelników ciekawy końca mojej powieści w krótkim go pozna ustępie.

Mściciele Zdzisława nie znaleźli ni około Bugu ni z tej strony Niemna jednego choćby Jadźwinki. Dymiące się stopy z powalonych chałek w rozległym koczowisku, przekonywały że ich mieszkańcy dopiero co opuścili stare siedziby — a gdzieby się udali? nikt z pewnością nie wiedział. Długo tylko nad brzegami Niemna z Litewskiej strony istniało pokolenie mężne i bitne, co z Gedyminem, Mendogiem, Riejstutem, Witoldem walczyło dzielnie Niemce,

Tatary i inne narody zaczepiające Litewskie dzierzawy.

Późno znów, bardzo późno, w sześćdziesiąt lat przeszło po końcu mojej powieści, znano sławne imię w Litwie Mleczków; bywali to wodzowie dzielni — mężowie prawi, toć może i po moim Mleczku potomkowie.

O kresie Komiata zda mi się niepotrzebną mówić — bo kto znał życie Komiata, kto znał jego duszę, ten przeczuje że Komiata do śmierci był Komiatem i umierał jak Komiata.

Diwanę kochał Mleczek — czyby po śmierci Zdzisława zapomniała o przedmiocie swoich uczuć Diwana, ja nie wiem. Ale to wiedząc że w Diwanie krew Jadźwingów płynęła, domyśliły się łącznie że Jadźwingom nieodrodna — jak ojciec ukarał niegodnego, według jego pojęć, syna — tak ona wzgardziła pamięcią kochanka — jako córka Jadźwingów — i poślubiła Mlecza.

Helszka, do śmierci, zgonu Zdzisława opłakiwać nie przestała.

Co zaś do Wojewody, Starosty i drużyny ich

całej — ci, jak to bywało, jedni choć w późnej
siwiźnie polegli w boju, inni na łożu w zgrzy-
białej starości. — Alboż to wtedy zaspali kiedy
krzyżacy, Litwa, Tatary!

KONIEC.

...jedni chcą w pomocy
...nie polegają na tożn w pracy
...wtedy kaszali kiedy
...wielu z nich w głąb świata



ROZDZIAŁ

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**
Biblioteka

U
Tel. 26-68-63, 26-52-01 w. 42



WYDZIAŁ HISTORII I SPOŁECZNAUCY
KRAJOWY ARCHIWALNI

1912

10

F
2254
1-2